Dr STANISŁAW SROKOWSKI

# „BYŁBYM SZCZĘŚLIWY“

UTWORY WIERSZEM I PROZĄ

WYDAŁ I POPRZEDZIŁ ŻYCIORYSEM

KAZIMIERZ KREMER

CAŁY DOCHÓD ZE SPRZEDAŻY RODZINA ODSTĘPUJE RADZIE REGENCYJNEJ TWORZĄCEGO SIĘ KRÓLESTWA POLSKIEGO DO JEJ DYSPOZYCYI I NA : : CEL, PRZEZ NIĄ OZNACZYĆ SIĘ MAJĄCY : :



LWÓW 1917 —— NAKŁADEM RODZINY

# „BYŁBYM SZCZĘŚLIWY“

D[R] STANISŁAW SROKOWSKI

# „BYŁBYM SZCZĘŚLIWY"

## UTWORY WIERSZEM I PROZĄ

WYDAŁ I POPRZEDZIŁ ŻYCIORYSEM

KAZIMIERZ KREMER

CAŁY DOCHÓD ZE SPRZEDAŻY RODZINA ODSTĘPUJE RADZIE REGENCYJNEJ TWORZĄCEGO SIĘ KRÓLESTWA POLSKIEGO DO JEJ DYSPOZYCYI I NA : : CEL, PRZEZ NIĄ OZNACZYĆ SIĘ MAJĄCY : :



LWÓW 1917 —— NAKŁADEM RODZINY

Z drukarni Jakubowskiego i Sp., Piekarska 11.

JANINIE BACZEWSKIEJ

O! wszystkim ludom pójdziesz, Polsko, przodem!
Bo wielkie czucie łono twe rozgrzeje,
I twa się cnota po świecie rozleje,
Jak się krew twoja po ziemi rozlała.
Wytrwaj, a wstaniesz potężna i cała!

*(„Proroctwo kapłana polskiego“ W. Pol.).*

## OD PRZYJACIELA.

Stanisław Jastrzębiec ze Srok Srokowski urodził się we Lwowie dnia 5. kwietnia 1888 roku. Ojcem jego był Teofil Srokowski, adwokat, matką Eleonora z Gawlikowskich. Stanisław ukończył gimnazyum Franciszka Józefa, — poczem wstąpił na uniwersytet we Lwowie na wydział prawa. W maju 1914 roku, po otrzymaniu doktoratu, zaręczył się z Janiną Baczewską. Służbę wojskową jako jednoroczny ochotnik 1. pułku ułanów rozpoczął dnia 1. października 1912 r., a ukończył 1913 roku. Gdy wybuchła wojna, został powołany do walczących szeregów; prawie bez przerwy od początku wojny walczył na froncie rosyjskim, a od lutego 1917 roku został przeniesiony ze swoją dywizyą na front włoski. Przy dywizyjnym sztabie pełnił obowiązki ordynansowego oficera, przez przełożonych wyższych wojskowych ceniony z powodu inteligencyi, bystrości umysłu, jak nie mniej i przez kolegów kochany serdecznie za niezwykły swój humor i prawdziwą, Polakom tylko właściwą brawurę, a przez żołnierzy uwielbiany za odwagę i dobroć. Za uniesienie z pola walki pod gradem kul rannego szeregowca został Stanisław odznaczony zaraz z początkiem wojny wielkim srebrnym medalem waleczności, a później medalem „Signum laudis". — W pierwszych dniach maja 1917 roku awansował z podporucznika na porucznika, a w kilka dni później, bo dnia 23. maja 1917, rozszarpany granatem, znalazł śmierć i pochowany został w Berje. Zwłoki Stanisława mają być w niedługim czasie przeniesione do grobowca rodzinnego na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie. Ojciec Jego, z żalu i rozpaczy po ukochanym synie, zmarł w lipcu tego samego roku.

*
* *

Staszku!

......................chciałem uczcić Twoje cienie. Wszystkim, którzy Cię kochali, daję pamiątkę po Tobie. — Kiedyś, po długich, długich latach niech niejedno serce przypomni sobie Ciebie, Twoją kochaną, wesołą twarz — piękność i szlachetność Twego ducha. Niech niejedne oczy się jeszcze załzawią. Odszedłeś tak nagle, tak niespodzianie.................. zapłakali nie tylko najbliżsi sercu Twemu................ i ja
zapłakałem nad Twym zgonem,
zapłakały serca kochające,
zapłakały polne wiosny kwiaty,
szumem swoim zapłakały dęby i topole.....

zaszeptały jakieś dziwne, dziwne słowa przypomnienia,
zaszeptały swym szelestem wszystkie drzewa, krzaki, [trawy,
całe łany zboża.........

niech zapłacze swym szelestem cichym
spadający liść jesieni,
niech zapłacze biały całun zimy!

nad Twym grobem niech zapłacze słońce, księżyc, [gwiazdy,
cały błękit nieba.....

A gdy wiosny nastanie znów pora,
niech zaśpiewa rozełkaną piosnkę
Twój towarzysz radości i smutku,
Twój słowik kochany i miły —
on nie zbudzi Cię już ze snu,
on nie zbudzi Twego serca.....

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

W noc pustą, wielką, czarną,
niech zapłacze głusza i ciemność cmentarna.....
.......................i wiatr niech zapłacze......
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .
Z krwi swych dzieci ...z serc umarłych...
...Polska wstaje!

*Kazimierz Kremer.*

Lwów, dnia 20. października 1917.

W noc pustą, wielką, czarną,
niech zapłacze głusza i ciemność cmentarna...
wszak niech zapłacze...

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Z krwi świętych dzieci... z serc umarłych...
Polska wstała!...

Kazimierz Kremer.

Lwów, dnia 20. października 1897.

## SŁOWIKI

W ciepły wieczór czerwcowy, kiedy już cisza zupełna i ciemność świat cały do snu ukołysała, słowików gromada na bzowym zebrała się krzaku. Ale ani jeden trel nie zabrzmiał dziś jeszcze w całej okolicy! Srebrne tony słowiczych pieśni nie zadzwoniły dotąd w cienistych gajach i pachnących ogrodach!

Smutek i zdziwienie ogarnęło przyrodę...

Próżno wykręcały się na wsze strony liście drzew i krzaków, wyglądając z niecierpliwością codziennych miłości śpiewaków. Próżno zasmucone kwiaty wyciągały w górę cienkie swe szyjki, by choć krótką usłyszeć wiosny muzykę. Próżno gibkie sarenki i zajączki figlarne biegały na wsze strony, by miejsce zwykłego o tej porze koncertu odnaleźć. Próżno! Bo słowiki dziś o sobie ni znaku życia nie dawały!

Smutek i zdziwienie ogarnęło świat cały... Zaszemrały smutne liście i, jak to zwykle liście, sprzeczać się i łajać wzajemnie zaczęły, przypisując dzisiejszą śpiewaków nieobecność brakowi gościnności lub zbyt głośnemu szemraniu podczas ostatniego koncertu. Ale to przecie nie one temu winne! To filut wiatr złośliwy, który niemi miotał, sprawcą jest tego niegodnym!

A kwiatki niepocieszone pochyliły w milczeniu swe główki ku ziemi, napróżno chcąc dociec nieszczęścia przyczyny.

— „Może w innym gdzieś kraju piękniej, cudniej pachną kwiaty? Może tem znęcone słowiki opuściły już nas na zawsze?“ — myślały biedne, smutne kwiaty.

Sarenki z jeszcze większem, niż zwykle, zdziwieniem na świat spoglądały; a zajączki och! te z rezygnacyą uszka położyły po sobie i nawet do zwykłych skoków straciły ochotę.

Jeno stary, bardzo stary strumyk, co już od wieków smutną tę dziś okolicę srebrzącą się w księżyca świetle wstęgą przecinał, szemrał jak zwykle jedno-

stajnie i spokojnie. On jeden wiedział, co było nieobecności słowików przyczyną! On jeden pamiętał z lat poprzednich o tym dniu, w którym nikt słowiczego nie usłyszy śpiewania! — Ale brzydki i nieuczynny mruk stary nie podzielił się z nikim swoją tajemnicą, nie spędził smutku z czoła stroskanych liści i kwiatków, sarenek i zajączków, jeno pomknął ze złośliwem szemraniem w dal, unosząc z sobą niezdradzoną tajemnicę.

W odległym gaju, gdzie łoże jego wolne było od kamyków i żwiru, gdzie w milczeniu zupełnem posuwał się wolniutko w mchu i trawie i niewyśledzony podsłuchał przed laty słowików tajemnicę, skrył się i dziś, jak zresztą co roku w tym dniu, w nocy ciemności — przypadł do ziemi i słuch wytężył.

Wiedział strumyk stary, on jeden w okolicy całej, że w ten wieczór czerwcowy słowiki przed starym swym nauczycielem raport zdają tajemny z wiosny całej, — raport z tego, gdzie i komu wtedy, gdy kwitły bzy, i o czem śpiewały... Bo i słowiki szkołę swą muzyczną mają, do której za młodu uczęszczać muszą, i dopiero, gdy przy tym właśnie, ostatecznym już egzaminie pochwałę i nauczyciela starego uznanie zyskać zdołają, dyplom otrzymują i miano miłości piewców i wiosny.

Wytężył słuch strumyk stary i oto co usłyszał w ten ważny, cichy i ciepły wieczór czerwcowy:

Mówił słowik, co z zachodniej przybywał strony:

„Jam w górzystej zamieszkał okolicy. Na mieszka-
„nie ogród obrałem cienisty, wśród którego krył się
„skromny i czysty domek biały. Pierwszego zaraz wie-
„czora przysiadłem na gałązce, tuż nad drzwiami domku
„małego, i wypatrywałem, czy znajdę tu wdzięcznego
„słuchacza?

„Otwarły się wreszcie drzwi chatki — ujrzałem na

„progu kobietę niemłodą. Powoli wyszła przed domek „i na ławeczce pod okienkiem usiadła.

„Rozwijałem już skrzydełka do lotu. Innych ja, „młodych szukałem wielbicieli!

„Raz jeszcze spojrzałem na staruszkę, — ona na- „gle ku niebu wzniosła swą głowę i... jej oczy ujrza- „łem wtedy w księżyca mdłem świetle... Opadły me „skrzydełka, co mnie unieść stąd miały!... Zostałem!

„I odtąd co wieczór samotnej matce starej o synu — „jedynaku śpiewałem, co na wojnę wyruszył krwawą. „Pocieszałem ją, dodawałem otuchy, krzepiłem na- „dzieją. — Może lata minione wspominała, gdy w wie- „czory takie z synkiem maleńkim na ręku śpiewu takiego „słuchała? Może myślami w czasy ubiegłe się cofała, „gdy jej chłopię małe wesoło i bez troski przed domem „igrało? — Dość, że codziennym mym była wdzięcznym „słuchaczem, — a gdy raz się trochę spóźniłem, zaba- „wiwszy się nieco z druhem-skowronkiem na dębie „stuletnim, niepokój wyraźny i smutek w jej oczach „dojrzałem, czym jej może nie opuścił na zawsze!

„I trwało to czas dłuższy. Przyzwyczaiłem się do „jej włosów białych, oczu smutnych i płaczem wybla- „kłych. Przyzwyczaiłem się do nich i pokochałem je.

„Pewnego jednak dnia nie ujrzałem staruszki na „jej zwykłem miejscu, na ławeczce pod okienkiem. „Wieść żałobna, wieść o zgonie syna, jej jedynaka, „co padł kulą przeszyty, silniejszą była, niż śpiewu mo- „jego moc i potęga! Serce staruszki ciosu takiego nie „wytrzymało, — biedne serce bić przestało... Zaśpie- „wałem jej jeszcze na pożegnanie po raz ostatni, — gdy „już pod płaczącą spoczęła brzozą.

„Była już szczęśliwa: z synem się ukochanym wre- „szcie połączyła! Już zbędnym był dla niej śpiew mój „codzienny...

„Ale we mnie coś się urwało, zgasło...

„Jam już do wesołych pieśni utracił ochotę.
„Pozwólcie, mistrzu stary, odejść stąd na zawsze; „palmę pierwszeństwa ja innym oddaję z ochotą".

W milczeniu skinął nauczyciel stary na ucznia, co z północnej nadleciał strony. Rozpoczął drugi opowiadanie swoje:

„Jam w cichej się oparł okolicy — i po męczącej „wypocząwszy podróży, ruszyłem sławy szukać i uzna-„nia. Dziwiła mnie cisza, jaka w osadach ludzkich pa-„nowała; a ludzi zrazu nie widziałem wcale. — Do-„piero późnym wieczorem szarych postaci gromada „do wsi się z lasu zakradła i na jej przeciwległym „końcu do tajemnej się jakiejś żwawo zabrała roboty. „Stukały cicho siekiery i młoty, dzwoniły łopaty i ki-„lofy. Z brzaskiem dnia robota była skończona, — „dziwni pracownicy nocy milkli w lesie, — ich miejsce „inne zajęły postacie.

„Zrobiło się widniej. Nie mogłem się oprzeć cie-„kawości — podleciałem bliżej. Przysiadłem na gałązce, „tuż nad wykopanym nocą rowem, w którym głowy „ujrzałem żołnierzy, na przybycie wroga czekających „w ukryciu. Przekrzywiłem główkę i zajrzałem cieka-„wie do środka.

„Dostrzegłem człowieka w szarym uniformie, z ka-„rabinem w ręku. Patrzył wciąż uważnie w stronę, „skąd wróg mógł nadejść. Na mnie nawet nie spoj-„rzał!

„Zaświergotałem z cicha.

„Podniósł głowę i z radosnym uśmiechem szepnął „cichutko, jakby się obawiał mnie spłoszyć:

— „Słowik!"

„Tem jednem słowem, tym uśmiechem radosnym „ujął mnie i zdobył sobie moją przyjaźń przebojem. — „Nic dziwnego: wszak był żołnierzem! — Tego samego „wieczora śpiewałem mu już przy miesiąca blasku o żo-

„nie i dziecku, o wiośnie jego życia, o wieczorach szczę-
„śliwych, gdy tulił w ramiona serca swego młodziutką
„wybraną...

„Trwało to dni kilka, gdy nagle dnia pewnego
„pierwsze gwizdnęły kule nademną!

„Ćwierknąłem mu szybko: „Do zobaczenia“ — i co-
„fnąłem się w bezpieczniejsze miejsce. Żołnierzem nie
„jestem, więc i nie miałem czego szukać na linii bo-
„jowej.

„Oparłem się w jakiemś wielkiem mieście. — Długo
„jeszcze nie mogłem się otrząsnąć z przerażenia; ser-
„duszko wciąż jeszcze biło niespokojnie. I długo jeszcze
„ten świst kul brzmiał mi w głowie!

„Zamieszkałem w pięknym ogrodzie, otaczającym
„okazały budynek. Jak się rychło przekonałem, szpital
„to był obecnie, pełen rannych żołnierzy. Śpiewałem
„im wszystkim, raz temu, to owemu, — ale któż opi-
„sze moją radość, gdy dnia pewnego przyjaciela mego
„ujrzałem!

„Siedział na ławce pod rozłożystym kasztanem.
„Lewą rękę nosił na temblaku, — nieprzyjacielska mu
„ją przebiła kula!

„Z jakąż mnie powitał radością! Jak się moim
„śpiewem ucieszył! Szczęśliwy byłem i dumny z jego
„przyjaźni!

„Lecz cóż z tego? Pewnego dnia zapomniał o mnie
„zupełnie... Przyjechała jego żona... Nawet nie spoj-
„rzał w moją stronę... Niewdzięczny! — Uleciał mój
„zapał młodzieńczy, — przykre go zburzyło rozczaro-
„wanie! Nie chcę więcej dla niewdzięcznych śpiewać
„ludzi!

„Pozwólcie i mnie też odejść, mistrzu! Będę odtąd
„śpiewał dla siebie!“

Trzeci przemówił słowik, co ze wschodu przybył,
w te słowa:

„Z miasta się tutaj przedarłem, z miasta, przez „nieprzyjacielskie zajętego wojska. O nagrodę ani uzna- „nie wasze wcale się nie myślę ubiegać! Phi! Niech „jeno odpocznę nieco, wracam natychmiast. Tam wre „życie prawdziwe! Posłuchajcie!

„W pałacowym mieszkam parku, gdzie codziennie „śpiew i muzyka królują! W pałacu oficerów groma- „dy, — tańce, hulanki, zabawa! Łakoci do przesytu, — „a jakie cudne dziewczęta!

„Prawda, że nad mój śpiew grę w karty przeno- „szą i szkła bicie, — ale czyż ja muszę śpiewać? Ży- „cie pędzę bez troski, używam młodości i świata! Hej! „hej! Żal mi was leśnych odludków i mdłych senty- „mentalizmu przeżytego piewców! Bywajcie zdrowi! Ja „wracam do życia!“

Znikł w ciemnościach nocy, nie żegnany przez nikogo. Smutno tylko głową potrząsnął nauczyciel stary i szepnął z boleścią: — „Stracony“...

I z obawą na czwartego spojrzał kandydata, co z południa dziś nadleciał: „Czyżby i ten? ech! nie“...

— „Mów, synu!“

Małe szare ptaszę główkę swą podniosło i dzióbek otwarło:

„Urodziłem się w ogródku, w małym zacisznym „kąciku, latać uczyła mnie mama, a czasem tatuś. Po- „tem — to najbardziej lubiłem wycieczki na pobliskie „podwórze, gdzie przysiadałem na zielonym kasztanie. „Naprzeciw był dom okazały, a w nim okienko.

„A w okienku złotowłosa panienka...

„I długo samą ją zawsze widziałem w okienku. „Wieczorami w niebo spoglądała gwiaździste, — a wzrok „jej taki zawsze był dziwny!... Zdawało mi się, że ona „ani nieba, ani gwiazd nie widziała wcale! Jej myśli „gdzieindziej leciały...

„Aż pewnego dnia tajemnicę odgadłem: w okienku „znów panienkę ujrzałem, lecz już nie... samą!

„Dwoje ich już ujrzałem, przytulonych do siebie, „złączonych miłością i szczęściem! — Świata nie wi- „dzieli oboje, a cóż dopiero mnie! Prawda, że byłem „wtedy bardzo jeszcze maleńki!...

„Odtąd, gdy spojrzałem w okienko, wiedziałem, że „wiosna nastała w przyrodzie: tam bowiem widziałem „dwojga serc kochających wiosnę prawdziwą, życia „ludzkiego wiosnę! Śpiewać jeszcze nie umiałem wtedy. „Postanowiłem więc wstrzymać się do następnego roku „i dopiero wtedy okazać im srebrnym trelem przyjaźń „moją i wdzięczność. Tak! i wdzięczność! Oni bowiem „w mem serduszku maleńkiem zapał i chęć do śpie- „wania miłości zbudzili!

„W ciepły wieczór lipcowy pożegnałem z daleka „ich głowy kochane, tulące się w szczęściu do siebie... „i odleciałem z innymi rówieśnikami w dalekie lasy, „do szkoły. Ciężka była zima — trudna nauka.

„Ale znosiłem mężnie jedno i drugie; — uczyłem „się pilnie, bo chciałem umieć ładnie śpiewać i do „mych młodych przyjaciół z pięknym powrócić go- „ścińcem. Myślałem o nich często, — widziałem te dwie „głowy kochane, jasną i ciemną, w okna ramie...

„I pytałem siebie, czy wciąż jeszcze razem trwają „w miłości szczęściu, jedno przy drugiem?...

„Nadeszła wreszcie wiosna! Jakże się jej doczekać „nie mogłem. — Szkoła się skończyła, — mogłem już od- „lecieć na praktyczne kursa. Nawet nie pamiętam, czym „wszystkich pożegnał kolegów — tak się śpieszyłem...

„Wreszcie znajomy ujrzałem komin wysoki... dom... „mój stary, poczciwy kasztan... och! witaj okienko!... „Zamknięte!?...

„Dziwnie mi zabiło serduszko!

„Spokój niemiły i cisza wokoło... światła nigdzie „nie widać... — Czekałem długo — i napróżno!

„Na dziedzińcu prowadzonej podsłuchałem roz- „mowy — potem nieprzyjacielskie ujrzałem szynele... „smutną już znałem prawdę!

„Nic tu po mnie! w dalszą trzeba ruszyć drogę!

„Chciał mnie w drodze zatrzymać towarzysz, ten, „którego opowiadania słuchaliśmy przed chwilą... Zby- „łem milczeniem jego nalegania i rady; on był już wtedy „pijany!

„Kosztowało mnie pracy i trudu wiele, nim przy- „jaciół mych odszukałem; niestety, nie byli razem! „Ona“ w mieście mieszkała naprzeciw ogromnego, cie- „mnego budynku.

„Spędziły mnie z gzymsu, na którym przysiadłem, „niedobre wielkomiejskie wrony i kawki. Tak się gnie- „wały! a jak krzyczały!

„Uciekłem. I lepiej się stało: w tem mieście był- „bym zginął z głodu! Przecież nie miałem karty chle- „bowej!...

„.....„Jego“ znalazłem w cienistym ogrodzie. W ma- „łym mieszkał pokoju — co wieczora mogłem „go“ „doskonale z brzozowego oglądać krzaka. — Siedział „zwykle przy stole i przy świetle małej lampy pisał „coś — samotny.

„Raz ćwierknąłem z cicha...

„Rzucił pióro i podszedł ostrożnie do okna; potem „wrócił do stolika, zgasił lampę i znów się zbliżył do „okna. A jak stąpał ostrożnie! „On“ bał się mnie spło- „szyć! Mnie! swego przyjaciela!

„Nie, bratku! Ja się ciebie nie boję, — wszak sam „ciebie szukałem! Ja nie ucieknę od ciebie...

„I odtąd przed „jego“ oknem stale siadywałem, — „ale tylko po to, by wiedział, żem jest przy „nim.“ Śpiewu „mego i „on“ nie usłyszał! Moja pieśń dla obojga była

„przygotowaną, dla dwojga serc, dla mych dwóch główt „kochanych! Czasem „on" wyjeżdżał, ale na krótko; „do „niej" wyjeżdżał, szczęśliwy! Jam nie leciał z nim „razem, bo nie czas był jeszcze na szczęścia pieśń „moją...

„Jednego dnia odjechał stąd na zawsze...

„I znów setki mil dzielą mych młodych przyjaciół! „Ona" w mieście została, „on" na wojnę podążył...

„A ja? ...Jam na mój stary poczciwy powrócił „kasztan i czekać będę cierpliwie ich powrotu.

„.....I nie gniewajcie się, mistrzu stary! Ja się „przyznaję, żem dotąd nikomu jeszcze nie śpiewał. Ja „dla mych młodych przyjaciół zachować pragnę pierwszą moją miłości pieśń!..."

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Podniósł głowę mistrz stary, co w milczeniu opowiadania słuchał młodego. Spojrzał na ucznia i tak się odezwał:

„Ciężkie dziś czasy i niezwyczajne. Inne ja pomnę „egzamina, innych, weselszych słuchałem opowieści. „Z wolą Opatrzności pogodzić się jednak trzeba! — „Idźcie każdy w swoją drogę! Żadnemu dziś, niestety, „pierwszeństwa przyznać nie mogę.

„A ty, mój młody przyjacielu" — tu zwrócił się do ostatniego — „wracaj do twego okienka! Czekaj „swych przyjaciół! Wrócą oni do ciebie i słuchać będą „w pokoju już o szczęściu twego śpiewania! A po uznanie i dyplom do mnie nie wracaj! Ich radość i szczęście większą ci będą nagrodą i zapłatą, niż najwyższe „moje pochwały! Leć z Bogiem!..."

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Dniało już, gdy słowiki z gaju uleciały. Jeno strumyk, mruk stary, szemrać znów począł między kamieniami, — i o dziwo! po raz pierwszy od wieków jakoś

niezwykle czuł się wzruszony i zwykłą swą złośliwość zupełnie gdzieś utracił!...

Bo nawet mruka starego wzruszyły smutne słowików opowiadania!...

...Płynął więc dalej w zwykłą swą drogę i myślał... I nagle, szemrając w swem łożysku, uśmiechnął się filut stary!

Myślał o ostatnim słowiku: o tem, co ten widział w swem ukochanem okienku, a bardziej jeszcze o tem, co kiedyś on w niem zobaczy!...

...Ej, strumyku, filucie!...

Szombathely—Wołyń 1915.

# DO NARZECZONEJ

## I.

Gdybym wiedział, że marzenia, co w sercu się roją,
Spełnić się mogą kiedyś, — że to nie czcze dziwy,
Że naprawdę kiedyś Ty zostaniesz moją...
Byłbym szczęśliwy!

Gdybym wiedział, że Twych włosów miłą, słodką wonią,
Co milej dla mnie pachną, niż kwieciste niwy,
Będę mógł się upajać... Lica me się płonią...
Byłbym szczęśliwy!

Gdybym wiedział, że z ust Twych malutkich, kochanych,
Co, choć w uśmiechu, mają wyraz tkliwy, —
Mógłbym kiedyś pić nektar słodyczy nieznanych...
Byłbym szczęśliwy!

Gdybym jednak wiedział, że skarby te całe,
Wszystkie — z Tobą razem mogłyby być moje, —
Wtedy rzekłbym: „Bądźmy, kochanie Ty małe,
Szczęśliwi oboje!"

We Lwowie — Styczeń 1911.

## II.

Chciałbym, by wreszcie nadeszła już chwila
Marzeń ziszczenia tak upragniona,
Kiedy los szczęścia zasłony uchyla...
Snów tajemnica złotych spełniona!

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Chciałbym, by wreszcie nadeszła już chwila,
Gdy w mem objęciu znajdziesz się spłoniona —
Gdy uśmiech szczęścia nam wargi rozchyla —
W pierwszym uścisku łączą się ramiona...

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Chciałbym, by wreszcie nadeszła ta chwila...

We Lwowie — Luty 1913.

## III.

Czy Ci jeszcze mówić trzeba,
Jak Cię kocham i miłuję,
Jak się bliskim widzę nieba,
Gdy Cię wzrokiem mym całuję!

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Czy Ci jeszcze mówić muszę,
Co w mem sercu zawsze czuję —
Jak upajasz moją duszę,
Gdy Cię wzrokiem mym całuję!

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Lecz jednego bym nie zdołał
Opowiedzieć Ci pragnienia:
Bym nie wzrokiem Cię całował —
Ust ustami wyczuł drżenia!...

We Lwowie — Czerwiec 1913.

IV.

A wieczorną gdyś godziną
Hen! daleko odjeżdżała, —
Chciałem pytać: „Chwile miną...
„Czy mnie będziesz wciąż kochała?
„Wśród tysięcy obcych twarzy
„Czy Ty będziesz pamiętała,
„O tym, który śni i marzy,
„Byś go wiecznie Ty kochała?“

We Lwowie — Lipiec 1913.

# AMOR I PSYCHE

Motto: „Miłość i tęsknota,
to jakby dwie prządki naszego żywota".
*Bohdan Zaleski.*

Niebiański cudny poranek zawisł nad Olimpem. Znużone całonocną pracą Plejad gromady niknąć już zaczynały na rozjaśniającym się firmamencie. — Gdzieś w dali słychać było tętent niecierpliwiących się rumaków, co doczekać się nie mogły chwili, w której pomkną ze słonecznym wozem Apollina na codzienną swą wędrówkę dokoła ziemi.

Z innej strony psów dolatywało radosne szczekanie: znak, że bogini Dyana, co podobnie, jak brat jej dostojny, o wczesnej godzinie łoże swe opuszczać zwykła, na łowy rychło się już wybierze.

Z gaju, gdzie, jak wiadomo, kuźnię swą Wulkan brodaty krył w zacisznem ustroniu, by bogów ognia żarem i sadzy pyłem nie drażnić i nie niepokoić, wąziutki się dymu pasek wznosić począł ku niebu, świadcząc, że i tam się wszystko przygotowuje do zwykłej pracy codziennej.

Ale — jak na ziemi, tak i na Olimpie, — prócz bogów, co pracę otoczyli swą opieką, spotkać było można i takich, co jeno na zabawach i rozrywkach czas drogi spędzali — ku wielkiemu zgorszeniu starego Chronosa, który nie mógł się nigdy pogodzić z takiem lekceważeniem jego własności!

Ot — i w tej chwili — bocznemi niebiańskiego parku ścieżynami przekradła się szybko do olimpijskiego pałacu spóźniona bogów trójka, co noc całą spędziła na wesołej zabawie i swawolnej hulance... Cyt! jeno ich zdradzać nie trzeba, bo bardzoby się gniewać gotów Jowisz surowy!

Na uszko jednak szepnąć można, że to była jasnowłosa Wenus z dziarskim Marsem i sprytnym Merkurym.

Ale to tajemnica!...

...Tymczasem coraz widniej i jaśniej czyniło się na niebie, coraz większy ruch opanowywać poczynał cichy dotąd i uśpiony Olimp.

Aż nagle — przez niebios bramę — wypadł, niby świetlany huragan, złocisty słońca wóz, unoszący w swem przejasnem wnętrzu boga-poetę, — i jasność wspaniała ogarnęła świat cały! Na Olimpie dzień się rozpoczął.

.................................

— W cichej, ustronnej części niebiańskiego parku Amorek skrzydlaty ćwiczył się w strzelaniu do celu. Na pniu starego klonu wyciął nożykiem serce, tak równo i starannie, że pozazdrościłby mu sprawności każdy zakochany student, który czynność tę uważa za pierwszy i najważniejszy dowód miłości, — i wypuszczał teraz dla wprawy jedną strzałę za drugą do celu, który w tym wypadku nie był zbyt wdzięcznym. Nie potrafił ocenić wartości daru, jaki niosły z sobą pierzaste pociski skrzydlatego bożka! Ale nie o to tu chodzi. Słodkiej siły, zawartej w grocie słanych przez Amorka strzał, nie zaznał dotąd jeszcze nikt ze śmiertelnych. Ziemia podówczas dopiero co istnieć zaczęła z woli wszechwładnego Jowisza. Ludzie na niej żyjący do zwierząt byli jeszcze podobni, znając tylko i zaspakajając cielesne jeno pragnienia i żądze. Owoc dojrzały lub łyk krynicznej wody były dla nich dobrem najwyższem, o które gotowi byli krwawe staczać walki, a nawet okupić je życiem. O pociskach amora pojęcia jeszcze nie mieli!

Ale, że każdy z bogów miał od Jowisza przeznaczone sobie zajęcie i zadanie do spełnienia, więc i Amorek skrzydlaty, co miłości cudne uczucie nieść miał innym w dani, czasu nie tracił i ćwiczył się pilnie w strzelaniu z łuku, do znanego już celu. Dlaczego właśnie taki mu kształt nadał, warto też posłuchać.

Chciał bożek mały koło narysować, tarczę okrągłą, jakiej w takim razie każdy używa strzelec. Ale u góry sęk twardy zmusił nożyk do wygięcia linii ku środkowi, a u dołu malutka Amorka rączyna nie zdołała w twardej korze doprowadzić nożyka kolistą linią do punktu wyjścia, ale przerżnęła go ukośnem cięciem, tworząc z początkiem pewien kąt, co, na ogół wziąwszy, było wiernym obrazem ludzkiego serca, tak, jak my je sobie w naiwności naszej zwykle przedstawiamy.

Amorek jednak bez żadnej ubocznej myśli kształt ten swej tarczy nadał, stało się to jedynie i wyłącznie z naprowadzonych dopiero co powodów.

...I teraz — raz po raz fruwała w powietrzu, przesyconem zapachem olimpijskich bzów i jaśminów, złocista strzała — i nigdy nie chybiła celu! A gdy kołczan pustym się stawał, wtedy, zadowolony ze sprawności i celności pocisków, biegł pędem bożek mały do drzewa, wyjmował w korze tkwiące groty i wracał na stanowisko, by dalej się ćwiczyć w strzelaniu.

A widocznie ostre strzały Amorka nie sprawiały najmniejszego bolu staremu klonowi, bo nawet ani się nie skrzywił, gdy pocisk w pniu jego się zagłębiał; przeciwnie, w szumie jego liści słychać było spokojne jakieś zadowolenie i cichą radość. A nawet zdało się, że odczuwał on rozkosz jakąś dzięki tkwiącym w ciele jego strzałom i z żalem się z niemi za każdym rozstawał razem, gdyż po wyjęciu pocisku ukazywała się w małym otworze, który grot po sobie w korze zostawiał, mała czysta łza, jakby cicha oznaka smutku i żalu za utraconą szczęścia chwilą...

Stary klon płakał...

...Ale porwany swem zajęciem Amorek nie widział tego. Na młodziutką jego buzię wystąpiły rumieńce podniecenia, a małe rączęta nerwowo obejmowały łuk i strzały.

Cudny to był obrazek!...

Na tle żywej drzew zieleni różowe, nagie ciałko malutkiego bożka, niby swawolnie igrającego dzieciaka, gnące się elastycznym ruchem za każdym ulatującym pociskiem... Złote włoski, lśniące w promieniach słońca świetlanym, cudnym blaskiem. Otoczenie całe — takie jasne i przeczyste...

I kwiatów upajający zapach...

Tak cudnie mogło być tylko na Olimpie!...

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Od pewnego czasu, tuż za plecami Amorka, stała dziewica delikatnej i powiewnej urody. Na pięknem jej obliczu gościł uśmiech rozczulenia i zachwytu, a przyjazne spojrzenie obejmowało ze szczerą radością małą postać Amorka. Nagle postąpiła kilka kroków i, zarzuciwszy mu na szyję białe swe ramiona, przykryła znienacka dłońmi oczęta...

...Opadły rączki, łuk dzierżące, — złocista strzała, miast ugodzić w klonu pień, nurknęła chyżo w trawę, a bożek, zaskoczony tak nagle, stał niemy i bezradny. Szybko się jednak ocknął, rączkami zdradzieckie uchwycił dłonie i zgrabnie wywinąwszy się z obejmujących go ramion, wykręcił się na pięcie i spojrzał w twarz tej, która się ośmieliła boskie mu przerwać zajęcie. Lecz pierwsze już spojrzenie w oblicze niespodzianego intruza rozjaśniło młodziutką jego buzię cudnym uśmiechem, — z okrzykiem szczerej radości rzucił się z powrotem w otwarte na swe przyjęcie białe ramiona.

— „Psyche! Moja Psyche złota! Przyszła wreszcie „do swego Amorka małego. Moja! Moja! Dobra, kochana „Psyche!“

Drobne jego ciałko tuliło się miłośnie do serca pięknej bogini, a wzrok jego tonął w jej cudnych, głębokich oczach.

— „Powiedz, Psyche, dlaczego tak długo kazałaś

„mi dziś czekać na siebie? Czyżbyś miała zapomnieć „o swym małym przyjacielu? Ty, niedobra! Tak nie- „cierpliwie czekałem!...“

Żałosny uśmiech ukazał się na jasnem Psychy obliczu:

„O, Ty mój mały pieszczochu! Dlaczego mi czynisz „taką krzywdę, pytając, czym zapomniała o Tobie? Sam „przecie w to nie wierzysz! — Wcześniej przyjść nie „mogłam, — wszechwładny Jowisz ranną mnie przed „siebie wezwał godziną, — i to powodem mego spó- „źnienia. Tak! Mój Amorku złoty! Rozkaz Jowisza po- „wodem jest tego, że dziś tak długo na mnie czekać „musiałeś, a co gorsze i bardziej smutne, że dziś już „po raz ostatni...“

Nie dokończyła Psyche zaczętego zdania. W cudnych jej oczach dwie łzy, niby dwie bezcenne perły zabłysły, przez chwilę na rzęsach cienistych zawisły, a potem wolno się po policzkach na dół potoczyły... Targnął się bożek skrzydlaty:

— „Psyche! Ty płaczesz! Moja Psyche złota! Cze- „mu? Powiedz zaraz, czemu płaczesz? Co znaczą Twe „słowa: „dziś po raz ostatni?“ Ja się lękam, Psyche! „Ja nie chcę!“

I jak dzieciak mały, którego żal i strach przed nieznanem jeszcze nieszczęściem obejmie, garnąć się począł zaniepokojony Amorek do swej boskiej towa- rzyszki, zaciskając mocno swe malutkie wargi, które już mimowoli w formę się wygięły podkówki, jak u dziecka, które za chwilę w płacz ma uderzyć żałosny.

Wzruszenie ogarnęło dobrą Psychę:

„Cyt! Amorku mój! Nie trzeba, nie trzeba. Łzy ani „nam nie przystoją, ani nie pomogą. Pójdź! usiądźmy „pod tym starym klonem, który z taką gotowością słu- „żył Ci za cel Twych strzał drogocennych, i pomówny

„spokojnie o tem, co się stać musi z rozkazu wielkiego „Jowisza. Pójdź Amorku!“

Złączeni gorącym uściskiem postąpili kroków kilka. U stóp cienistego drzewa Psyche smutna usiadła, a przy niej Amorek skrzydlaty, w którego szeroko otwartych oczętach trwoga się malowała i niepokój. Ani się nawet nie obejrzał za porzuconym w trawie łukiem i strzały rozsypanemi! O nich teraz nie myślał! Toć przecie o ważniejszą w tej chwili chodziło rzecz: miał się dowiedzieć, co było łez Psychy przyczyną! Więc spoglądał z niecierpliwością w oblicze swej przyjaciółki i... czekał. A po chwili cichy głos Psychy w te się ozwał słowa:

„Jak wiesz, Amorku mój ukochany, przed niedawnym czasem stworzył Jowisz potężny, woli swej „mocą, ziemię i powołał do życia ludzi, istoty będące „naszym obrazem i podobieństwem. Dał im wszystko, „co my — Olimpu święte bogi — posiadamy, z wyjątkiem duszy, dał wszystko — z wyjątkiem uczuć „subtelnych świadomości, wrażliwości na prawdziwe, „idealne piękno, na to, co cudne, boskie, niebiańskie... „I przekonał się rychło Jowisz rozumny, że źle się „dzieje dlatego na świecie. Że dla marnej, ziemskiej „zdobyczy brat zabija brata, a siostra siostrze życie „dla pięknej ozdoby odbiera! Przekonał się, że stawiając ludzi wyżej od zwierząt, ziemię zapełniających, błąd wielki popełnił, gdy odmówił im tego, „co ich od tych zwierząt odróżnićby mogło, — gdy „odmówił im duszy! Więc postanowił złemu zaradzić i błąd swój naprawić. Po namyśle dziś mnie „wezwał do siebie i, jako nie mającej jeszcze zadania „żadnego, najwyższy dał rozkaz tam zejść, między ludzi, „dziś jeszcze i nieść im: dobrego i złego różnicy poznanie, uczuć delikatność i wrażeń subtelność. Stąd „łzy moje i smutek, stąd żal i ból, bo się nam rozstać

„trzeba z sobą, pieszczochu mój mały, rozstać na „wieki...“

Serdecznego bolu okrzyk wydarł się z boskich Amorka usteczek, a drżące jego ramiona objęły Psychę gwałtownym uściskiem.

— „Nie, Psyche! Nie! Ty nie odejdziesz! To być „nie może! Ja nie chcę! Przestań, nie kończ! Ty mnie „nie opuścisz przecie, nie zostawisz tutaj samego! Tyś „mi jedyną tutaj była przyjaciółką. Tyś jedna zawsze „dobrą dla mnie była. Cóż ja pocznę tutaj bez Ciebie? „Nie, Psyche! Ty tylko żartujesz? Prawda? Ty umyślnie „tylko niepokoisz Amorka małego, bo wiesz, jak on Cię „kocha i lubi! Ty niedobra Psyche! Ty!“

I paluszkiem małym groził smutnej wciąż bogini, która z żalem nieudanym potrząsnęła przecząco głową.

„Nie, mój mały przyjacielu! Tym razem słowa „moje, niestety, prawdę jeno, ciężką i złą Ci mówią „prawdę! Cóżby dała Psyche Twoja za to, by to w isto„cie żartem jeno było przykrym, snem niemiłym, co „szybko przemija, marą, czy ułudą! Prawdą są niestety „słowa moje, — za chwilę opuszczę Cię, Amorku mój „złoty, opuszczę na zawsze...“

Ostatni płomyk nadziei, co gorzał w bożka małego oczętach, zgasł nagle, rozpaczy zduszony ciemnością. Zrozumiał już Amorek, że to w istocie nie są żarty, że za chwilę utraci rzeczywiście i nieodwołalnie towarzyszkę swych codziennych zabaw, utraci na zawsze z rozkazu i woli wszechwładnego Jowisza.

Bezsilny gniew zapalił jego małe serduszko! Drobne piąstki zacisnęły się od dziecinnej niemocy, — lecz po chwili już tylko ciche łzy, gorące łzy bolu, rozpaczy i żalu płynąć zaczęły z jego modrych ocząt...

...I tak trwali przez chwilę w milczeniu, smutku pełnem. Jeno klon stary, co rozmowy całej niemym był świadkiem, zdjęty współczuciem, szemrać począł

listkami, jakby w ten sposób okazać chciał, że i jemu nie jest obojętną krzywda, jaką im wyrządził Jowisza nieubłagany wyrok.

Ocknął się wreszcie biedny Amorek. Połykając łzy, które uparcie wciąż jeszcze cisnęły mu się do oczu, odezwał się cichym głosem, przerywanym żałósnem szlochaniem:

„Iść musisz, Psyche biedna, jeśli Jowisz tak po„stanowił. Ale to wiedz, że i ja tutaj nie pozostanę! „Nie patrz na mnie tak zdziwionym wzrokiem! Po„wtarzam, że i ja tutaj nie pozostanę, jeno podążę za „Tobą, tam między ludzi. Zadanie moje tutaj, na Olim„pie, spełniłem dokładnie, nie jestem więc nikomu „więcej potrzebny. Z nimi wszystkimi, którzy mnie tu „za dzieciaka uważają, nic mnie nie łączy; z nich nikt „mi ani w części nawet nie okazał tyle dobroci i przy„jaźni, co Ty, Psyche! Pójdę więc z Tobą! Olimpu nie „będę żałował ani przez chwilę nawet!"

„Nie! to niemożebne! Ty stąd odejść nie możesz! „Cóżby na to Jowisz powiedział! A Wenus? Jeszczeby „Cię za sam pomysł karać gotowi!" — ozwała się Psyche, nie na żarty, przerażona nagłem postanowieniem swego małego przyjaciela.

W odpowiedzi na te słowa, Amorek chytrze się jeno uśmiechnął i rączką wykonał gest ufnej w powodzenie pewności siebie. I rzekł:

„Już ja to potrafię urządzić! Zdaj się na mnie. „W stosownej chwili i ja znajdę przystęp do samego „Jowisza, a wtedy..."

Tu przerwał — i oglądał się dokoła, czy nikt ich podsłuchać nie może; a następnie zbliżywszy usta do różowego Psychy uszka, szeptał dalej:

„On ma już dość Junony! Już mi to kilkakroć dał „do poznania, a strzały z jej imieniem kazał mi rzu„cić do Hadesu! A tam na ziemi mają też być cudne

„kobiety! Obiecam mu najpiękniejszą wyszukać i rzu-
„cić w ramiona! Ale wprzód mnie posłać musi na
„ziemię! Na ziemię, za moją Psychą najdroższą! Cóż?
„Czy nie sprytny Amorek?"

Tu przymknął jedno oczko, a figlarny uśmieszek okolił mu usteczka. Nawet Psyche, która jeszcze wtedy ludzi nie znała i nie zdawała sobie sprawy, na jaką idzie tułaczkę, na jak straszne za niepopełnione winy wygnanie, uśmiechnęła się słodko i radośnie:

„Jeśli tak by Ci tęskno być miało za mną" — rzekła po chwili — „to uczyń, jak mówisz. Mnie dasz
„przez to tylko szczęście najwyższe i radość!"

Jeno, tu stropiła się biedna Psyche:

„Jak Ty mnie tam, na tej wielkiej ziemi odnaj-
„dziesz wśród tylu ludzi? Ich ma być takie mnóstwo!
„Jakże mnie tam odszukać potrafisz?"

Uderzony trafnością uwagi, stropił się też i Amorek jasnowłosy. Zmarszczył brewki, paluszkiem tarł czoło i myślał...

Wtem wzrok jego, szczęsnym wiedziony trafem, zatrzymał się na pniu, w którym tkwiła jeszcze jedna z jego strzał.

„Mam! Mam pomysł, Psyche!" — wykrzyknął uradowany i uchwyciwszy ją za rękę, zmusił do powstania. A potem wskazał na rysunek, w pnia korze wycięty.

„Patrz, Psyche!" — rzekł — „to będzie nasz znak.
„Idąc między ludzi i dając im swe cudne dary, zakli-
„naj je w ten kształt! Dawaj im na świadectwo swej
„obecności ten znak umówiony, dawaj im serce! Niech
„ono będzie Twem siedliskiem i mieszkaniem! A moje
„strzały, znakiem tym nęcone, znajdą Cię zawsze i wszę-
„dzie i drogę mi wskażą do Ciebie! Drogę do ludz-
„kich serc, gdzie Ty przebywać będziesz, Psyche mo-
„ja!..."

...I złączyły się bogów ramiona w długim, cudnym pożegnania uścisku.

Dokoła cisza panowała uroczysta, jakby Olimp cały bał się najmniejszym odgłosem obrazić świętą rozstania dwojga bogów chwilę...

Zbliżało się już południe...

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Po pewnym czasie z bramy Olimpu wyszła samotna, nieodprowadzana przez nikogo dziewica i schodzić zaczęła wolno stromą drogą, wiodącą z nieba na ziemię...

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

...O ziemio! Gdybyś ty wtedy zrozumieć była mogła, jaki gość szedł w Twoje krainy! Jak cudne niósł ci dary, jakie przynosił gościńce! Gdybyś to zrozumieć mogła!

...Przywdziać Ci było wiosny szatę godową, przystroić zielenią i kwiaty pachnącymi... Ptakom kazać zanucić radosny hymn powitania.

...Aleś zbyt niską była w swych uczuciach! Nie umiałaś ocenić jowiszowego doniosłości daru i znaczenia! Tyś dalej jeno sobą zajętą była. A Twoje dzieci? Dalej tylko ludźmi były i zostały!

...Jak żal, żeś tego zrozumieć nie mogła!

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

...Jesień deszczowa, mglista i ponura objęła ziemię swym chłodnym i śliskim uściskiem. Natura cała, zdało się, skurczyła się i zamknęła w sobie, jak ślimak, prętem dotknięty, — przygotowując się do długiego i ciężkiego snu zimowego. Znikły kwiatów barwne kobierce i drzew zieleń soczysta; miejsce ich zajęły ciemnej ziemi szmaty błotniste i nagie, wilgotne gałęzi szkielety, w mgłę oparów spowite. Pochowały się zwierzęta po lasach i jaskiniach, ludzie w domostwa się cofnęli. Pustka i głusza opanowały ziemię.

Jeno nudny deszcz jesienny, mżący bezustannie, świadkiem był jedynym, że życie w przyrodzie nie zamarło jeszcze na zawsze...

W taki chłodny, deszczowy dzień jesienny stanęła Psyche, po swej długiej i ciężkiej z nieba wędrówce, na ziemi. Przerażonym wzrokiem spoglądała dokoła, napróżno szukając olimpijskiej pogody, jasności i blasku...

Bezradna i biedna wtuliła główkę w ramiona, a ręką przycisnęła serce swe strwożone, co tak szybciutko biło w piersi!

Psyche się bała...

Na niebie ciemnych chmur zwały, na ziemi pustka i zamarłe życie. Jeno gdzieś w dali brzmiały głodnych zwierząt złowrogie głosy...

Więc bała się boska Psyche, bo tak strasznego obrazu nie oglądały jeszcze nigdy jej cudne oczy, co jeno olimpijską się dotąd poiły pięknością...

Za cóż ją właśnie, ją jedną, skazał Jowisz na tak straszne wygnanie? Za co? Czyż nie sprawowała się zawsze, jak na boginię przystało? Czyż nie zachowywała się godniej, niż taka naprzykład Wenus, co tylko o zabawie wciąż myśli, albo Minerwa zarozumiała, która nawet Jowiszowi boskiemu nie przyznawała nigdy słuszności? Za cóż więc?...

I biedna, opuszczona Psyche oparła się o ociekający deszczem pień drzewa przydrożnego i szlochać rzewnie poczęła, niby skrzywdzone dziecko.

Po chwili jednak uniosła głowę i nagle uśmiech radosny zakwitł na jej usteczkach przybladłych. Otucha i nadzieja objęły nagle jej serce!

„Wróci szczęście! Spokój wróci i radość!“ — szeptały jej drżące wargi. — „Amorek przecie obiecał zejść „też na ziemię! On odnajdzie swą biedną, opuszczoną „Psyche, żal jej ukoi, złe minione wynagrodzi cudną „pieszczotą! W jego objęciu o wszystkiem zapomni“...

Pokrzepiona tą myślą, ruszyła biedna Psyche w dalszą swą drogę, wiodącą do ludzkich siedlisk i sadyb, pomna na rozkaz Jowisza.

I szła dalej ciężką swego przeznaczenia ścieżką, omijając błotniste kałuże, szła Psyche — olimpijska bogini, by nieść ludziom ideałów poznanie i piękna świadomość...

O biedna Psyche ty!...

.....................................

Minęła już brzydka, niemiła jesień, mijała już nawet i zima. Na ziemi, gdzie wszystko, a więc i życie i czas granice swoje mają, upłynęło wiele długich dni i tygodni.

Na Olimpie — w królestwie wiecznych bogów — cały ten czas krótką był jeno chwilką, której ledwie starczyło Amorkowi skrzydlatemu na poufną z Jowiszem rozmowę. I natychmiast po tej audyencyi, nie opowiadając się nikomu, ani nikogo nie żegnając, w tajemnicy przed bogi innymi, wymknął się miłości młody bóg z olimpijskiego pałacu, by na ziemię podążyć i ukochaną swą odszukać Psyche!...

Uniosły go lekko skrzydełek przeźrocza, usłużny Zefirek ofiarował z gotowością dobrze ułożonego dworaka swą pomoc, i w krótki czas potem — po raz pierwszy od stworzenia ziemi — dotknęła jej powierzchni maleńka stopa cudnego miłości boga.

I stało się, że cała przyroda w godową się przybrała szatę na przyjęcie dostojnego gościa, w kwiaty się strojąc i zieleń! Na ziemi wiosna zapanowała, wiosna radosna, pachnąca, pełna jakiegoś tajemnego oczekiwania i słodkiego niepokoju dreszczów...

Hej! szczęsna ty wiosno, której danem było takiego dostąpić zaszczytu!...

.....................................

Niewidoczny dla ludzi, stanął w ich gronie Amor skrzydlaty. Bystrem spojrzeniem obejmował gromady całe i pojedyncze istoty, zwiedzał ludzkie sadyby i osady, widział bogatych i biednych, wielkich i maluczkich, prostych i ułomnych.

Widział ludzi polujących po lasach na zwierzęta z dziwną jakąś, dziką zajadłością; widział mężów, toczących krwawe walki o ziemi piędź urodzajną; widział kobiety, waśniące się gwałtownie o muszli błyszczącej posiadanie. Ale Psychy nigdzie nie ujrzał, ani umówionego znaku! Może i spoczęła tu kiedyś przez krótką chwilę stopa biednej bogini, ale pogardzona, zapoznana przez stworzenia, bardziej jeszcze do zwierząt, niż do ludzi podobne, — poszła dalej — odepchnięta przez niewdzięcznych głupców!

Zmartwił się Amorek złotowłosy i zasmucił. Nie myślał bowiem, że tak mu będzie trudno odnaleźć utraconą towarzyszkę drogą!

Przez chwilę stał bezradny — nagle wspomniał na znak umówiony i z radości szczerej okrzykiem pędem się puścił z powrotem między ludzkie osady...

Z zarumienioną jak jabłuszko buzią i błyskiem podniecenia w oku, biegać począł znów między ludźmi, szukając bez wytchnienia umówionego znaku, — szukając serca!

Małe jego rączki gorączkowo obejmowały łuk z gotową do lotu strzałą, drżącą niecierpliwością, by do znanego sobie zmierzyć celu i słodkiego spełnić służbę pośrednictwa.

Wieczór był już cichy, wieczór wiosenny — ciepły, pogodny, gdy w cień jakiegoś gaju skrył się bożek skrzydlaty.

Pomęczeni całodzienną za zdobyczą gonitwą, cofnęli się już ludzie do swych osad, umilkły ich dzikie okrzyki.

Tylko ptasząt cichy świergot dzwonił w czystem wieczora powietrzu, przepełnionem cudną wonią ziół i kwiatów.

Pogodne niebo okryło się gwiazd migocących milionem, a wśród nich poczesne, główne miejsce zajął uśmiechnięty, srebrzysty miesiąc. Cudny był ten cichy wieczór wiosenny...

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Nad szemrzącym w gaju ruczajem dziewczyna młoda na głazie omszonym usiadła. Dziwnem było jej spojrzenie, dziwnem oblicze, odrębną i szlachetności nadziemskiej pełną postać smukła.

Podkradł się bliżej Amorek, zjawiska pięknością znęcony, czując mimowoli, że pełne rozkosznej słodyczy wzruszenie dech w małej tamuje mu piersi...

I ujrzał nagle w srebrnym miesiąca blasku odrzuconą dziewczyny głowę jasnowłosą i wzrok jej tęskny w niebo gwiaździste utkwiony! Dłonie jej lewą cisnęły piersi stronę, jakby powściągnąć chciały coś, co z wnętrza rwało się ku górze — hen! ku tym gwiazd milionom — ku niebu!...

...Chwilka... pierzasta frunęła strzała... dwa nieopisanej radości okrzyki i szczęścia... i uścisk gorący i długi złączył znów cudnych bogów dwoje!...

Czas jakiś trwali tak w ciszy niemego powitania. Słychać jeno było ich przyśpieszone oddechy i serc dwojga wzruszonych żwawe bicie, co tak długo czekać na się musiały w bolesnem rozstaniu i tęsknocie...

A potem głos cichy szepnął:

„Psyche! Moja biedna Psyche..."

A jakby w odpowiedzi trąciły lekko wieczora ciszę skargi pełne słowa:

„Com ja wycierpiała, Amorku! Jak mi było źle, „jak strasznie źle..."

I znowu cichy, a przecież wiele mówiący uścisk splótł ich ciała młode, — a w gaju jeszcze się uczyniło ciszej, niż wprzódy... Tylko gdzieś z odległej gęstwiny mroków słowika doleciał świergot...

A potem, powitania upojeni czarem i nocy wiosennej urokiem, usiedli na głazie, bliziutko przytuleni do siebie, — i Psyche opowiadać musiała o swej wędrówce bolesnej i minionych cierpieniach czekania...

Mówiła:

„Zziębnięta i znużona dowlokłam się do ludzkich „osad i o przyjęcia gościnę prosiłam. — Przyjęto mnie „jednak szyderstwem, naigrawaniem nakarmiono i psa„mi złymi wyszczuto. Poszłam dalej. — Wszędzie to„samo się powtarzało! Ludzie mnie odpychali od sie„bie, twierdząc, że darów mych im nie trzeba, bo du„sza zbędną jest dla nich i bezużyteczną! Ani głodu „i pragnienia zaspokoić nie zdoła, ani szat ozdobnych „i bogatej zdobyczy dać im nie potrafi! A to dla nich „pierwszą jest rzeczą. — I tak cała zeszła zima na „bezowocnej wędrówce. — Już mnie rozpacz ogarniała „i zwątpienie, — ale cóż począć miałam, kiedy surowy „Jowisza rozkaz zmuszał tułać się dalej po ziemi bez„drożach i czekać losu zmiłowania...

„I może trudnoby mi było wytrwać, gdyby nie „myśl o Tobie, Amorku! Myśl i nadzieja, że Ty jeden „o mnie nie zapomnisz, że pamiętać będziesz o swej „Psyche ukochanej, że kiedyś wreszcie wrócisz w jej „drżące z tęsknoty ramiona — i szczęście dasz odzyskać, „tak boleśnie i niemiłosiernie przerwane! — Więc serce „moje, choć pełne gorącej, serdecznej tęsknoty, nie tylko „się oprzeć zdołało nieszczęść wszelkim ciosom i prób „ciężarom, ale — przeciwnie — w tej właśnie tęskno„cie miłosnej pomoc zawsze znajdowało, oparcie i siłę!

„I dziś kocham tę moją tęsknotę serdeczną, łzami „uświęconą, bo droższą mi ona, niż wszystkie olimpij-

„skich bogów skarby! Czemże wobec niej Wenery „powierzchowna piękność, lub Minerwy zimna mą- „drość! Czemże? A dziś, teraz, w tej chwili, gdy słodka „moc, zawarta w grocie cudnej Twej strzały, sercu „memu jeszcze i miłości boskiej dała poznać szczęście, „dziś tak mi błogo, tak lekko, tak bardzo rozkosznie, „że ludziom zaczynam zazdrościć tych szczęścia chwil, „które nam obojgu kiedyś przecie zawdzięczać będą!

„Bo dziś już przyjaciół mam grono spore na ziemi. „Przeważnie młódź to jeszcze niewinna, której wiek „młody świata oszczędził zepsucia i jadu. Młódź roz- „sypana po całym wielkim świecie.

„Ale ci, co w swem wnętrzu noszą znak nasz boski, „święty, tulą w piersi, niby skarb drogocenny, młode „i niewinne serce, a w niem życia prawdziwego boską „przyczynę, mnie noszą, Twoją, Amorku, Psyche, — „swoją noszą duszę!

„Jutro więc, skoro świt nastanie, odwiedzimy oboje „mych młodych przyjaciół. Przez tajemną moc Twych „strzał przecudnych użycz im, Amorku mój, miłości „prawdziwej i wzniosłej szczęścia rozkoszy! Niech pę- „dzą odtąd, ci wybrani, życie swe w istocie na obraz „i podobieństwo nasze, niech ich dusze boską i nie- „biańską ożyją miłością i szczęścia okryją się kwieciem!

„A jeśliby kiedy los srogi szczęścia ich miał prze- „rwać cudne chwile, — czego sama doznałam przez „Jowisza ważny rozkaz, — wtedy znajdą oni zawsze „pomoc i oparcie tam, gdzie ja je przez tak długi zna- „chodziłam czas, — w miłosnej je znajdą tęsknocie!...“

Gorący i słodki pocałunek skrzydlatego miłości boga był odpowiedzią na słowa Psychy. Pocałunek długi i rozkoszny, który więcej i piękniej mówił, niż najbardziej wyszukane słowa!

I nagle uczuła Psyche, że jakaś słodka, nieznana dotąd niemoc, omdleniu rozkosznemu podobna, obej-

muje jej boskie ciało... Uczuła, że w długim Amora pocałunku mieściło się, prócz prośby jej wysłuchania — jeszcze coś więcej...

Więc poddawszy się słodkiej jakiejś ociężałości, obejmującej jej ciało, i dech tracąc w piersi pod wpływem nieznanego dotąd wzruszenia, garnąć się Psyche zaczęła coraz goręcej i miłośniej do tulącego ją w ramionach Amora, co raz bliżej... bliżej.................

.................................................

I tylko gaj pachnący, co cieniem swym krył bogów uścisk cudny, szemrać z cicha począł, jakby się tajemnicą swą pochwalić chciał przed światem.

.................................................

A nazajutrz stało się zadość prośbie Psyche: Wybranym i godnym dała dobra bogini siebie, dała im duszę. Boski zaś jej kochanek, Amor skrzydlaty, ofiarował miłości cudnej uczucie.

I żyją odtąd ludzie na ziemi, co, niby olimpijskich bogów para, szczęścia najwyższego znają tajemnicę!

A jeśli nawet los srogi rzuci kiedyś cień rozstania na ich cudną uczucia biel nieskażoną, wtedy nie tracą ci wybrani ufności i nie wątpią o powrocie dobrej doli, bo idzie wszędy za nimi boski Psychy dar, co o złem zapomnieć pozwala i dwa zawsze łączy serca, — idzie za nimi tęsknota.....

Luty 1916.

mule jej boskie ciało... Czuła, że w długim Amora pocałunku mieści się, precz próby jej wysłuchania — jeszcze coś więcej.

Więc spodziewała się spadku, jakiejś ostateczności, obejmując w jej ciało i dech trzecią w piersi pod wpływem nieznanego dotąd wzruszenia, zaczęła się Psyche szczerze coraz mocniej i mocniej do tulącego ją w ramionach Amora, co raz bliżej... bliżej...

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

I tylko wschodzący [illegible] swym krył boków [illegible] zazdrośnie [illegible] jakby się lęka[illegible] nica swą podrywali chciał przed światem.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

A nazajutrz stało się zadość prośbie Psyche. Wy[illegible] dobra bogini [illegible] dała na żonę. Rosła zaś jej wdzięków, Amor strzegł [illegible] rącej miłości cudów pełnie.

I była odtąd ludzie na ziemi, aby wśród ludzkich bogiń parę szczęścia najwyższego znała tajemnicy.

A jeśli kiedyś los srogi kiedyś okiem [illegible] ich cichy [illegible] nie [illegible], wtedy nie trzeba ci wydziwić [illegible] i nie wątpić o powrocie dobrej doli. Bo przecież wszyscy za [illegible] boskiej Psychy dar, co o [illegible] zapomnieć pozwala i [illegible] nieważne [illegible] łzie za nimi tęsknota...

Luty 1918.



4

# MARZENIE

*

Siadłem samotny przy oknie w chmurne niebo wpa-
[trzony,
Cisza dokoła i ciemno, do marzeń czas jak stworzony!
Spokój martwy i cisza, co w uszach zda się dzwoni,
Dziwne wywoła obrazy! — Myśl ma nagle pogoni
Zdala od ciała, co w mroku
Samotne zostało!... Czuję łzę w oku!
Sam!...
Cóż to? Sala jasna, złocista,
Strojów tkanina wzorzysta,
Szmer rozmów, muzyka, —
Obraz z przed oczu nie znika?
Twarze jasne, pogodne, wszystkie takie radosne!
Śmiech, wesołość, zabawa, jak w wiosnę!

Duch mój cichy, zbłąkany, co wkradł się tutaj tajemnie,
Szuka jednak daremnie!
Te twarze wesołe, ta sala, to jakby marzenie
Dziwne, mgliste........ Wspomnienie!
Dalej! Ostrożnie duch mój płynie,
Rozbawionych koło niewidoczny minie!

Pokoik! Blady, zaciszny, niebieski cały,
Jakby w nim królował aniołek skrzydlaty, mały!
Siedzę cichutko w kąciku, spokojny, cierpliwy,
Bo mi tu najlepiej, jam tu szczęśliwy!
.................................

Cyt! Muzyki tony dochodzą tu zdala!
Śmieje się, bawi rozświecona sala!
...Ktoś przeszedł obok... Ktoś zaśmiał się szczerze.
Znowu cicho!... Ja czekam i wierzę!

A! drzwi nagle otwarto...
Może to... Nie! To sukienkę rozdartą

Ktoś naprawić tu żąda.
Więc dusza ma, co kogoś innego pożąda,
Znów cicha, spokojna w kąciku przysiada
I znów czeka cierpliwie; nie biada!
...Sukienka już cała, jedno w źwierciadło spojrzenie
Intruz zniknął!... Przybywaj marzenie!
Patrzę.

Tu łóżeczko, tu stolik, tam małe mebelki
I to światło, co z niebieskiej płynie wciąż umbrelki,
Tu fotografie... Znów ktoś idzie! Uciekaj!
Siadaj znów w kąciku i czekaj.
...Drgnęła klamka... Kto? To Ty! Kochanie!
Czekaj, zaraz, niech zmysły będę zebrać w stanie,
A wnet Ci powiem...
Lecz prawda! To wszystko niestety
Na próżno! Jam duchem tylko... duchem poety,
duszy zbolałej i smutnej,
Co losu doznała męki ach okrutnej!
Ty mnie nie widzisz! Jam w Ciebie wpatrzony
Szczęśliwy, radosny, cały rozmarzony!
...Ty mnie czujesz? żem ja przy Tobie,
Ty nie wiesz w tej właśnie dobie?

Poprawiasz włosy! Po co? Niech trochę zostaną wzbu-
Złote, jasne, moje wymarzone! [rzone,
Patrzysz w moją stronę! Wzrokiem ku mnie płyniesz,
Może mi odpowiesz?... Może główką skiniesz?
...Nie widzisz!... Oczy Twe pojętne
Przemknęły po mnie takie obojętne...
Że się nie domyślisz, że, prócz żywych gości,
Wśród śmiechu, zabawy, ogólnej radości
Może przybył ktoś niemy, niewidoczny smutny,
Cichy, nie butny?

No, powiedz, że mnie słyszysz... Stój, nie odchodź
Ciało me przeszły zimne jakieś dreszcze! [jeszcze!
..Stój... Odeszłaś...

...Jak tu smutno, ciemno, światło już przygasa.
Oczy me zalewa jakaś czarna masa...
...Odpowiedz!... Wróć się!... Nie wraca...

...Duch mój męki skraca.
Z przed oczu znikły ciemne marzeń kręgi,
Dusza w rzeczywistości wciska widnokręgi
Mój umysł!...
Znikły obrazy......
Znów cisza dokoła!

W ulicy cichej zda się ktoś zawoła...
Jakiś wóz przejechał... Cisza, jak po burzy,
Co szarpie nerwami i nuży...

Wzrok znów utkwiłem w gwiazd drgającem morzu
I znów płynę po smutku mojego przestworzu
Sam... zapomniany...
Niepoznany.......

Z R . . . . .

Wakacye roku 19... spędzałem we włoskiej miejscowości kąpielowej R. Kąpiele morskie i kilkugodzinne wygrzewanie się na słońcu wzmacniały doskonale mój organizm, nadszarpany znacznie całorocznem przebywaniem w niezdrowem i dusznem mieście. Dobrze mi więc było, gdy myślałem, leżąc na piasku, że nowych nabędę sił do pracy i płucom moim przynajmniej choć przez krótki czas złudną dam rozkosz delektowania się niczem niezepsutem morskiem powietrzem. O powrocie do domu nie myślałem wcale, — przeciwnie, upajałem się rozkoszami chwili, starając się zapomnieć o wszystkich przykrościach i trudach, które mnie z wszelką pewnością powitać znów miały z chwilą przybycia do kraju. Towarzystwa nie pragnąłem, więc go i nie szukałem. Kilku natrętnych młodzieńców, którzy, leżąc opodal mnie na piasku, rozpoczynali ze mną banalną pogawędkę na temat pogody lub pięknie wypełnionych damskich kostyumów kąpielowych, zbyłem szybko dość opryskliwą odpowiedzią, — no, i miałem spokój. Co prawda, okupiłem go przydomkiem gbura i mruka, o czem mnie mój dość subtelny zmysł słuchu kilkakroć przekonał. I dobrze mi było. Złożywszy głowę na zwiniętym płaszczu kąpielowym, leżałem co rana wpatrzony w niebo, snując nić marzeń, wywołując w mej wyobraźni obraz lat minionych, przeżytych... Przypominały mi się czasy dzieciństwa i młodości, tysiące drobnych wypadków i szczegółów, których nie zapomina się przez życie całe.

Zatopiony w mych wspomnieniach, nie słuchałem krzyków dzieci, budujących niezdobyte twierdze z piasku, ni śmiechu rozbawionych kobiet, obryzgiwanych wodą przez nie mniej krzykliwych młodzieńców. Nie zajmowały mnie targi wędrownych kupców, obnoszących swój towar po wybrzeżu, ani nawet sensacyę

budzący balon wojskowy, który pewnego dnia ukazał się nad spokojną taflą Adryatyku.

Lecz wszystko ma swój koniec! Tak i moja samotność i ulubione marzenia przerwał mi pewnego dnia człowiek, którego znałem i lubiłem od dawna. Znalazłszy się na wybrzeżu, szukał dogodnego miejsca, by się też wyciągnąć na piasku, i ujrzał mnie, leżącego opodal. W milczeniu wyciągnął się obok mnie i widząc, że nie zwracam nań uwagi, przywitał tak, jakbyśmy już od tygodnia co dnia obok siebie leżeli:

— Jak się panu spało?

Zdziwiony podniosłem głowę i — rzecz dziwna — po raz pierwszy od mego przybycia do R. nie pogniewałem się na intruza, ale przeciwnie, ujrzawszy miłego znajomego, powitałem go serdecznie. Był mi bowiem pan Tadeusz zawsze miłym i serdecznym towarzyszem, z którym niejedną nawet noc spędziłem na pożytecznej i mądrej rozmowie. Słuchałem go zawsze z uwagą i przyjemnością, jako człowieka niepospolicie doświadczonego i rozumnego. Starszy odemnie o jakich lat dziesięć był pan Tadeusz typem dziwnym, nie dla wszystkich zrozumiałym, bo szalenie nieprzystępnym. Zaprawdę, nie wielu znałem takich, z którymi serdeczniej pan Tadeusz porozmawiał, lub uczuciem ich żywszem obdarzył. Należąc więc do nielicznej garstki wybranych, umiałem to wyróżnienie mojej osoby należycie ocenić i, znając dobrze usposobienie pana Tadeusza, starałem się go jedynie w tej wyjątkowej dla mnie przyjaźni utwierdzić.

Należało z nim mówić zawsze poważnie, unikać błahych i banalnych tematów, a nigdy już nie starać się wedrzeć w tajniki jego życia przeszłego, o których z zasady nie wspominał nawet przelotnie.

Nic więc dziwnego, że nie gniewałem się na zrządzenie losu, który mi takiego zesłał towarzysza.

Owszem, cieszyłem się i radowałem, mogąc spędzić dziennie kilka godzin w towarzystwie tego wyjątkowego, przez nikogo dotąd nie zbadanego człowieka.

Pewnego dnia, leżąc obok pana Tadeusza na piasku, ujrzałem scenę, na którą zwróciłem też i jego uwagę. Niedaleko od nas, pod namiotem siedziało na trzcinowych fotelach wytworne towarzystwo cudzoziemców, złożone z kobiety i trzech mężczyzn. Kobieta była młoda i bardzo piękna; jak można było sądzić, wesoła i żywa, gdyż słuchała z upodobaniem tego, co jej młody człowiek, należący do tej samej grupy, szeptał do ucha. Dwaj inni panowie, z których jeden, jak się dowiedziałem, był jej mężem, rozmawiali spokojnie, jak zresztą na starszych i poważnych mężczyzn przystało. Nie przeszkadzało to jednak mężowi spoglądać z pod oka na swą młodą żonę, zabawiającą się doskonale z młodym człowiekiem, przyczem wyraz jego twarzy dobitnie okazywał, że się mu to wcale nie podoba. Dziwniejszem jednak było to, że trzeci mężczyzna, siedzący obok męża, jeszcze większy okazywał niepokój, a wzrok jego utkwiony w młodzieńcu wyrażał dobitnie jego bezsilną wściekłość. Stan ten trwał już dobrą chwilę. Nagle mąż, przechyliwszy się nieznacznie w fotelu w stronę swej żony, musiał zapewne usłyszeć urywek rozmowy, którą ta prowadziła z młodzieńcem, bo zerwał się błyskawicznym ruchem z miejsca, sprawiając równocześnie wrażenie, jakby się chciał rzucić na pięknie uczesanego młodzieńca. Trwało to jednak sekundę. Przez chwilę jeszcze zmagał się z uniesieniem, które go zerwało z miejsca, aż wreszcie wyrzekł słów kilka do swej żony. Ta spojrzała nań obojętnie, powoli powstała z fotela i, owinąwszy się miękkim ruchem w płaszcz kąpielowy, skinęła główką młodzieńcowi. Następnie wolnym krokiem weszła do namiotu, nawet nie spojrzawszy na męża, ni jego towarzysza.

Przez chwilę trzej pozostali panowie trwali bez ruchu na swych miejscach. Pierwszy ocknął się mąż pięknej pani, a pożegnawszy serdecznym uściskiem dłoni swego towarzysza, oddalił się do swego namiotu, ostentacyjnie ignorując młodzieńca. Ten jednak niewiele, zdaje się, robił sobie z okazanego mu afrontu, gdyż, skłoniwszy się w milczeniu czwartemu członkowi rozbitego tak nagle towarzystwa, wykręcił się na pięcie i zniknął też między namiotami.

Pozostały mężczyzna spoglądał za nim z widoczną nienawiścią, nie odwzajemniwszy mu się wcale ukłonem.

Powoli jednak z twarzy jego ustępował wyraz gniewu i oburzenia, natomiast jakiś smutek bezbrzeżny rozlał się na jego obliczu. Ciężko usiadł na fotelu, a oparłszy głowę na ręku, wbił wzrok w piasek; i tak trwał przez czas dłuższy bez ruchu.

Scena ta przykre na mnie wywarła wrażenie. Chcąc jednak dowiedzieć się, co o tem wszystkiem myśli pan Tadeusz, spojrzałem na niego i.... przeraziłem się.

Podobnego wyrazu twarzy nie widziałem u niego nigdy. Blady, jak ściana, miął kurczowo kraj swego płaszcza, patrząc przytem błędnym wzrokiem w płótno namiotu, w którym zniknęła piękna pani.

Nie wiedziałem, czy przemówić do niego, czy milczeć, nie poznając zupełnie w tym tak nagle zmienionym człowieku tak zawsze spokojnego i nigdy niczem z równowagi nie wyprowadzonego pana Tadeusza.

Po chwili jednak on sam przerwał milczenie:

— Tak, panie Stanisławie! — rzekł zmienionym głosem, trąc nerwowym ruchem ręki swe czoło, — Tyś jedynym dotąd człowiekiem, który zdołał zobaczyć na własne oczy, że i ten zimny Tadeusz ma krew, a nie wodę w żyłach! Tyś jedyny, przed którym nie zdołałem ukryć mego bolu i rozpaczy. Los chciał, byś

był świadkiem tej nad wyraz dla mnie bolesnej sceny, dowiedz się więc wszystkiego. Bacz jednak, żeś pierwszym, któremu serce me otworzę, i okaż się godnym pokładanego w Tobie zaufania. Po mej śmierci wolno Ci z mej tajemnicy zrobić, co Ci się podoba. Jak długo jednak żyję, chcę, by świat cały, prócz Ciebie, o tem nie wiedział. A teraz słuchaj. —

I opowiedział mi smutną swej pierwszej i ostatniej miłości historyę.

* * *

Dziś pan Tadeusz już w grobie. Wolnym więc od danego mu przyrzeczenia. Niech więc pióro moje skreślić spróbuje jego opowieść, brzmiącą temi słowy:

....I ja byłem kiedyś młodym, rwącym się do życia młodzieńcem. Zawsze uśmiechnięty, wesoło na świat patrzący, bogaty, żyłem z dnia na dzień, o nic się nie troszcząc. Rodziców straciłem wcześnie. Wychowałem się u ciotki, a doszedłszy do pełnoletności, objąłem w posiadanie majątek tak ogromny, że zdołałby nawet starczyć na wybryki i szaleństwa większego odemnie lekkoducha. Włóczyłem się po świecie, szukałem co raz nowych wrażeń i przygód, zaznałem wszystkich uczuć, które owładnąć mogą duszę człowieka, ale nie wiedziałem jeszcze, co to jest miłość. Przelotnych stosunków z kobietami tem mianem nazwać nie mogłem i, mimo mego cynizmu, nie chciałem. Powtarzam: nie znałem miłości w jej należytem rozumieniu.

Lecz i to, niestety, przyszło! Mówię „niestety“, gdyż uczucie to stało się powodem jedynie męki serdecznej, krwawiącej bezustannie me biedne serce, mimo, że tyle lat już upłynęło od dnia, w którym po raz pierwszy siły jego zaznałem.

Było to w zimie roku 1898. — Spędzałem karnawał w stolicy, uczęszczając na wszystkie bale i przy-

jęcia. Jednego wieczora na prywatnem zebraniu poznałem młodziutką mężatkę, lat najwyżej dwudziestu. Bawiła w stolicy z mężem, człowiekiem pięćdziesięcioletnim, za którego wyszła przed kilku dopiero miesiącami. Od pierwszego ujrzenia, od pierwszej chwili wzbudziła ona we mnie uczucie dziwne, dotąd mi nieznane. Zrazu zdawało mi się, że to litość lub współczucie. Bo i jak nie żałować tego prawie że dziecka, związanego już na całe życie ze wstrętnym i starym dziwakiem. Lecz szybko poznałem, że się mylę. To nie była litość, ni współczucie, to była miłość! I to miłość szalona, bez zastanowienia się, miłość do kobiety zamężnej, straconej dla mnie na zawsze!

Ja, który dotąd ani przez chwilę nie robiłem sobie skrupułów z tego, czy kobieta, przezemnie pożądana, jest z kimś węzłem małżeńskim połączona, czy nie, który dążyłem zawsze do jednego tylko celu, tu po raz pierwszy odczułem, że coś się już stało, czego zmienić nie można, czego nikt mi wrócić nie zdoła!

Tak! to była miłość najczystsza i najpiękniejsza.

Kobietę, którą kochałem, poślubił kto inny, nazwał się jej mężem i miał prawo za sobą. Myśl, że mógłbym z nią, jak już z niejedną dotąd, zawrzeć stosunek po za plecami męża, wydawała mi się wstrętną i podłą! Ta kobieta była dla mnie świętą i niedostępną! Przecież ja ją kochałem!

A wiesz ty, co kochać znaczy? Czy która z żon wiarołomnych pomyślała kiedy, że jej kochanek nawet przez chwilę jej nawet nie kochał!? Że kochać jej nie mógł, bo w takim razie nigdyby jej się nie stał kochankiem!? Że kochając kobietę prawdziwie, chce się jedynie jej dobra i szczęścia, choćby to nawet zaparcia się swych najgorętszych uczuć wymagało? Cóż z tego, że zrobisz z niej towarzyszkę i wspólniczkę swych zmysłowych uniesień, kiedy Cię nękać będą wyrzuty, żeś

jej wydarł jej spokój i czystość, żeś okradł jej godność kobiecą! Cóż Ci z tego, że będziesz ją tulił ukradkiem w swych ramionach, myśląc przytem, że za chwil parę musi ona wrócić do swego prawowitego męża, któremu z twojej winy nie będzie śmiała spojrzeć w oczy? To nazwiesz miłością? Wiem, że są czeredy całe mężczyzn, którzy, ogłupieni samczym instynktem, nawet przez chwilę o tem nie myślą, ale tych o miłość do posiadanej kobiety nigdy nie posądzałem i posądzać nie myślę.

Gdyś już miał to nieszczęście zakochać się w kobiecie zamężnej, gdy czujesz, że twe serce łamie się w bolu serdecznym i rozpaczy, schowaj twe uczucie w głębi duszy i nie każ ukochanej dzielić twego nieszczęsnego losu. Pozostaw ją nadal czystą i spokojną, pozostaw jej duszę nieskażoną i wolne od grzechu sumienie.

Taką była moja pierwsza miłość! Chodziłem jak cień za ukochaną kobietą, nie zdradziwszy nigdy ani słowem jednem, ni gorętszem spojrzeniem beznadziejnego, szalonego uczucia. Co wycierpiałem, Bóg jeden wiedział. Ile nocy nie przespałem, ile łez gorzkich wylałem, wspominać nawet nie chcę i nie mogę. Gdy byłem sam, wściekałem się na siebie, postanawiałem porzucić moją dotychczasową taktykę, chciałem plunąć na wszystkie względy, moralność, etykę... lecz, znalazłszy się wobec „niej", patrząc w jej niewinne fiołkowe oczy, patrzące na świat z dziecinną wprost naiwnością, pogardzałem samym sobą i znów kryłem swe uczucia nadludzkim wprost wysiłkiem.

Słuchaj jednak dalej. Było to już w wielkim poście. Spędziłem wieczór w teatrze z „nią", jej mężem i pewnym młodym człowiekiem. Po skończonem przedstawieniu pojechaliśmy do restauracyi na kolacyę. Przy deserze... w chwili, gdy jej mąż wywnętrzał mi się z zaufaniem z jakichś bajecznych finansowych operacyi

giełdowych, ujrzałem, jak „ona“, wyjąwszy z swej torebki chusteczkę do nosa, osłoniła nią zgrabnie złożoną we czworo karteczkę papieru i podała błyskawicznym ruchem młodzieńcowi. Ten schował ją w zawiniętej dłoni, a po chwili w swej bezczelnej głupocie, rozmawiając już ze mną i nie przeczuwając nawet, że byłem świadkiem niemym powyższej sceny, niby zupełnie bezmyślnie karteczkę rozwinął, przeczytał, a następnie zwinąwszy w palcach, rzucił na ziemię.

Po kwadransie opuściliśmy restauracyę. Pożegnawszy „ją“ i męża, czekałem, aż ich powóz odjedzie. Następnie, usprawiedliwiwszy się młodzieńcowi, że zapomniałem papierośnicę, wróciłem do restauracyi, gdzie z łatwością odnalazłem obok stołu kulkę z papieru. Porwałem ją jak szalony, wypadłem na ulicę, rozwinąłem i przy świetle latarni przeczytałem słowa: „Jutro o piątej u Ciebie...“

Ha! Ha! Ha! Czystość, sumienie i godność kobieca! Śmiałem się jak szalony!

Głupcze! Zachciało ci się miłości prawdziwej i nieskazitelnej!

Oparłem się o mur i patrzyłem tępym wzrokiem w ciemną ulicę. Jak długo tak stałem, nie pamiętam. Wróciłem do domu. Popisałem listy, chciałem się bowiem zabić. Tak, zabić. No, nie patrz na mnie z takiem zdumieniem. Wasz zimny, zrównoważony pan Tadeusz chciał rzeczywiście popełnić samobójstwo!

Ale, trzymając już rewolwer przy skroni, pomyślałem sobie, że w ten sposób byłbym raczej obowiązany życie me przerwać, gdybym był na miejscu owego młodziana.

Czy miałem sobie coś do zarzucenia!? Czy miałem jakąś winę na sumieniu? Przeciwnie. Za mój ból i cierpienia zapłacił mi los tak strasznem rozczarowaniem, że mogłem teraz już łatwo starać się zapomnieć o przy-

czynie mych mąk i katuszy, boć ta, którą po raz pierwszy w mem życiu naprawdę pokochałem, uczucia tego okazała się w zupełności niegodną.

I co pan powiesz, kochany panie Stanisławie? Odłożyłem spokojnie rewolwer i po raz pierwszy od dłuższego czasu położyłem się do łóżka z uczuciem błogiego spokoju i niewypowiedzianej radości, że to nie ja jestem owym szczęśliwym młodzieńcem, który „ją" z drogi cnoty i obowiązku na manowce sprowadził. Spałem tej nocy wybornie.

Nie dziwisz się więc tedy, że odtąd, wyleczony zupełnie z miłości do kobiet o niewinnem spojrzeniu fiołkowych oczu, pędziłem żywot w błogim spokoju, który mi zyskał nawet u was przydomek „zimnego" pana Tadeusza.

Nie zakochałem się już po raz drugi nigdy, gdyż w to także nie wierzę. Kochać, mojem zdaniem, można naprawdę tylko raz w życiu. Ale przekonawszy się o złej lokacyi tego uczucia, o niem łatwo można zapomnieć, jak i wyleczyć się raz na zawsze od nowych prób na tem polu.

A teraz wróćmy do „niej". Widziałeś właśnie „ją" przed chwilą tam pod namiotem. Widziałeś jej szczęśliwego małżonka, który się jeszcze nie miał czasu przyzwyczaić do nagłej zmiany kochanków swej żony. Ten bowiem nieszczęśliwy z głową ukrytą w dłoniach, to dotychczasowy przyjaciel domu. Który to już z rzędu, nie wiem, ale, że nie ostatni, to pewne, bo widzieliśmy już obaj jego następcę, do którego się jeszcze biedny małżonek nie miał czasu przekonać. Ale i to się niedługo stanie.

Na koniec winien ci jestem kilka słów na moje usprawiedliwienie. Dzisiejsze me zapomnienie i chwilowy ból spowodowała mina siedzącego tam jeszcze biedaka. Pomyślałem sobie, że i ja tak w tej restau-

racyi wyglądać wtedy musiałem — i głupio mi się zrobiło. Ale teraz przeciwnie, radość mnie chwyta, że czystym pozostałem, nie mając sobie nic do wyrzucenia, podczas kiedy ten biedak ma, niestety, nie tylko czego żałować, ale powiedzieć sobie też musi, że towarzyszył przez czas jakiś kobiecie zamężnej w poszukiwaniu i zrywaniu zakazanych owoców! Ha! Ha! Ha!

No! Ale dość już tego. Idźmy się ubierać, bo już dzwonią na śniadanie. A ja nie lubię się spóźniać do stołu. Do widzenia, panie Stanisławie! — —

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Tego dnia pan Tadeusz był w bajecznym humorze. Podobno wieczorem upiliśmy się nawet szampanem.

19. II. 1914.

# SKOŃCZONA SIELANKA...

Raz w pięknych Tatrach pasterz był,
Co życie pędził w górach,
Wesoły zawsze, wolny żył
I bujał, jak ptak w chmurach!

Fujarkę małą z sobą miał,
O której nikt nie wiedział,
Bo gdy wesoło na niej grał,
Sam zawsze sobie siedział.

Zdarzyło się, że w lecie raz
Do niego na polankę
Zawitał gość (był piękny czas)
Co poznać chciał sielankę!

Panienką młodą był ten gość,
Dolina ją znudziła,
Sielanka zaś bawiła dość,
Więc często przychodziła.

Za panną inni przyszli w ślad,
Co także się nudzili,
A pasterz grał im zawsze rad,
By dobrze się bawili!

I stało się, to częsta rzecz,
Zakochał się wnet młody,
Miłości serce przebił miecz,
Lecz przyniósł i zawody!

Bo z końcem lata, do dom już
Gdy panna odjeżdżała,
Pamiątkę mu: bukiecik z róż
I fotografię dała!

I pasterz, siedząc w górach sam,
Wciąż w obraz jej wpatrzony,
Już teraz żyje w górach tam
Och, smutny, rozmarzony!

I raz, chcąc stłumić serca żal,
List do niej wysłał tkliwy...
A potem? Wśród swych pustych hal
On czekał niecierpliwy!

Lecz pannie, gdy raz z górskich stron
Wróciła w wir zabawy,
Tu, w mieście, pasterz młody on
Był wcale nieciekawy!

Częstokroć bowiem jakiś bal
Nazywał ją królową;
Lub częstoś widział ją wśród sal
Z wzniesioną dumnie głową.

A kiedy raz po balu jej
Oddano list z polanki:
Ha! Ha! Ha! Słusznie! Ty się śmiej!
Już koniec jest sielanki.

Dziś pewnie pasterz zbędny już,
Bo nuda znikła przecie!
List w ogień wrzuć! Ramieniem wzrusz
I myśl o toalecie!

Że gdzieś o Tobie śni tam ktoś,
To farsą Ci się zdaje!
Ty baw się! Śmiej! I na tem dość.....
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .
Któż bal znów teraz daje?

# Z SALI BALOWEJ

## RZECZ DO CZYTANIA PO NIEPRZESPANEJ NOCY KARNAWAŁOWEJ

## WSTĘP.

Mając zamiar naszkicować kilka typów, spotykanych zwykle na sali balowej, muszę się wpierw zastrzedz, że nie mam na myśli żadnej z tych sal, w których się bawić Wyście zwykli; typy moje to nie znajomi Wasi, jeśli jednak dziwnym trafem uderzy Was czasem podobieństwo rażące z przyjaciółmi Waszymi, lub co gorsze, z Wami samymi, to dowiedzcie się, że właśnie o tych pierwszych, a nie o Was ja teraz myślałem; to samo jednak równie dobrze i dla Waszych znajomych mam na swe usprawiedliwienie.

Tyle. Zresztą proszę o pobłażanie, jeśli typy moje niezbyt wiernie Wam tu odmaluję, lub niezupełnie wykończę, ja, malarz początkujący! A teraz proszę ze mną na salę.

## I.
## SALA BALOWA.

Wyobraź sobie, Czytelniku, żeś jest z pochodzenia rewolucyjnym Portugalczykiem lub poddanym najświeższego króla t. j. Macedończykiem, nieznającym naszych towarzystw, ni ludzi, i że przyjechałeś przed godziną „Expressem“ ze swej ojczyzny. Nie mając co z wieczorem robić, posłuchałeś mojej rady (znasz mnie, powiedzmy, z jakichś kąpiel) i idziesz ze mną na „nasz“ bal. Ja Cię tam wprowadzę, przedstawię, a w chwilach wolnych od zakręcania głowy sobie i uroczej danserce (z innemi bowiem nie tańczę) rozmarzającym walcem, lub od obrywania damom trenów przy kadrylu, do którego stanęło 735 par, opowiem Ci coś o niektórych osóbkach, które Cię zainteresują.

Karetka na gumach (naturalnie). Spienione rumaki (wieczór jest i ciemno, więc nikt nie zbada, czy to prawda) wryły się w ziemię przed rzęsiście oświeco-

nym i przystrojonym gmachem. Patrzmy przez okno karety: nad drzwiami przedsiębiorczy komitet umieścił transparent, który ulicę informować ma, kto to bal dziś urządza. Widzimy tam człowieka z łagodną twarzą i żdziwioną krowę; aha! to pewno bal Towarzystwa Ochrony Zwierząt, albo może cechu rzeźników? — pytasz. — Nie, przyjacielu, to słuchacze Weterynaryi.

Nie ma czasu na rozwiązywanie rebusów, entuzyazmujących tłum, zebrany przed bramą; portyer we wspaniałych lisach, czapie jak balia, z berłem niby słup telegraficzny, otworzył po kilkuminutowem kręceniu drzwi karety, zamknął je z hałasem i otworzył znów, ale drzwi do gmachu prowadzące. Wchodzimy.

Dywany, kwiaty, lampy, futra, fraki, daleki odgłos muzyki, zapach potraw z kuchni — wszystko to oszołomiło nas na chwilę. Zatrzymałeś się. Lecz uprzejma służba rzuca się na Ciebie w tej chwili i z wprawą dyplomowanych rzezimieszków pozbawia Cię w mgnieniu oka futra, kapelusza i laski, podając równocześnie z miłym uśmiechem tylko trzy znaczki kontrolne, bo i ona chce w tym dniu radosnym zyskać coś i radować się uczciwie zarobionym groszem.

Idziemy dalej. Stolik. Poważny pan, bilety, służący je odebrał, pchnął drzwi: jesteśmy na sali.

Pełno. Gwar rozmów, miłe tony muzyki, umieszczonej gdzieś na galeryi, szelest sukien. Stajemy na uboczu i patrzymy.

Wzdłuż ścian potrójny zasiadł wieniec naszych pań; młode, młodsze, najmłodsze, (starszych niema zupełnie, przynajmniej tego się głośno nie mówi).

Tu i ówdzie zadowolony ojciec z nieodstępnym szapoklakiem w ręce, który służy mu już wiernie od dnia ślubu, czarną tworzy plamę wśród pastelowych barw sukień kobiecych. Na środku sali młodzież, na-

dzieja narodu, gotująca się mężnie na upartą walkę z utrzymaniem rytmu w tańcu i zgodzeniem się z damą w takcie.

Posuwamy się wolno dookoła sali. Dekoracya wspaniała. Prawdziwe perskie dywany, wprost z fabryk wiedeńskich sprowadzone, zdobią ściany. Kąty i kąciki zastawione krzewami, z których każdy wygląda tak, jak gdyby się zaraził od pewnego nieboszczyka, który na galopujące umarł suchoty; miłe te bowiem i bawiące barwną zielenią krzewy pełnią z niemniejszem powodzeniem także służbę przy katafalkach umarłych.

Idziemy w dalsze pokoje. Zaciszne kąciki, wabiące dyskrecyą, wygodne fotele, w których cała rodzina zmieścićby się mogła, szerokie kanapy dla P. T. Mam Dobrodziejek, — wszystko to skrzętny przygotował komitet.

Wreszcie bufet zaopatrzony w smakołyki, którym zmęczona młodzież nie przepuści, choćby je przyszło nawet na wagę złota kupować, bo podawać je będą piękne rączki Pań i Gospodyń balowych.

Wracamy na główną salę. Wtem chwytasz mnie, Czytelniku, któryś dotąd oślepiony temi wspaniałościami milczał jak zaklęty, za rękę i pytasz, wskazując oczami:

— Kto to, ten pan wyniosły?

A ja Ci odpowiadam:

— To on, pan na wysokiem stanowisku.

## II.

## PAN NA WYSOKIEM STANOWISKU.

Patrz nań uważnie; to wielka ryba. Widzisz? W miarę wysoki, nie za tęgi, siwy, starszy wiekiem pan. Wyraz twarzy pogodny, oko jasne, włos staran-

nie uczesany, wąs ciemny, „gdyż jakoś nie siwieje“ niby, choć przed kilku laty bielszym się nam być wydawał. Lecz to drobnostka. Frak gdyby ulany, doskonale skrojony, błyszczące lakiery, piękne spinki u gorsu dają mu powagę, lecz i młodzieńczy wdzięk przytem.

Wolno idzie pan na stanowisku wysokiem, z obliczem, rozjaśnionem, łaskawym uśmiechem, ręce umieścił w kieszeniach dobrze, acz wygodnie skrojonego dolnego ubrania, lub też zakłada je okrągłym rzutem w tył pod jedwabne poły fraka, a to w tym celu, by swej dłoni szlachetnej każdemu do uścisku podawać nie musiał.

Dla ludzi, na niższem szczeblu drabiny hierarchicznej stojących, ma on zaledwie lekkie skinięcie głową, lub też zimne „dobry wieczór“.

Z byle kim pan na wysokiem stanowisku nie rozmawia. Czasem tylko zatrzyma się na chwil parę przy swego podwładnego pięknej żonie, która zwykle rozkosznie się wtedy czerwieni, patrząc z kokieteryą, lecz i bez obawy w oblicze wszechwładnego Jowisza, co u obok stojącego jej męża wywołuje gniew lub zadowolenie, odnośnie do tego, czy mu zależy na awansie, czy nie.

Zresztą chłodną prowadzi pan na wysokiem stanowisku rozmowę z podobnymi sobie potentatami.

Ożywia się i żywiej porusza, gdy uherbowany któryś potomek starej, znanej rodziny słów z nim kilka zamieni. Chwilę tę chciałby jak najdłużej przeciągnąć, uwagę wszystkich zwrócić na siebie, a rozstawszy się wreszcie ku swemu zmartwieniu z tym „Jaśnie Oświeconym“ (nic w tem dziwnego, bo salę oświetla 5 świeczników elektrycznych w łącznej sile 1600 świec), chwyta pod ramię któregokolwiek ze „swych“ ludzi i prawie że krzyczy dla tem szerszego efektu: „a! mówił mi właśnie książę“ czy „hrabia Minio...“ odnośnie do tego, ja-

kiem heraldycznem nakryciem głowy pochwalić się może dany pasażer klasy pierwszej pociągu kastowego.

W tanach pan na wysokiem stanowisku udziału nie bierze; zwykle jednak musi oprowadzić przy dźwiękach poloneza którąś z pań Protektorek czy Gospodyń. Czyni to z pewną niedbałością (jak zresztą już teraz wszystko) podawszy damie lewicę, a wsunąwszy w kieszeń prawicę. Patrzy przytem uważnie, czy przypadkiem przed nim pierwszeństwa nie dano komuś mniejszemu (rozumie się, że nie wzrostem) od niego.

Zabawiwszy tak godzin dwie, najwyżej trzy, pan na stanowisku wysokiem odjeżdża wynajętym powozem do domu.

— Cóż to zresztą za człowiek? — pytasz, gdyśmy go już dokładnie ze wszystkich obejrzeli stron. No, pan na wysokiem stanowisku! Czyż tego nie dosyć? Dziś, to jeden z tych potężnych, prawie, że dyktator: ma pod sobą urzędników, coś aż czterdziestu! Kolega prezesa, przyjaciel dyrektora, był raz na śniadaniu u arcyksięcia, ma fotel w teatrze, nie jeździ nigdy tramwajem, wiąże sam krawaty, bo gotowych nie znosi, — czego chcesz więcej? Co zrobił dobrego? Śmiesznie wprost doprawdy! Na to czasu nie ma. Rano biuro, audyencye, konferencye, sesye, potem obiad, drzemka, mała przechadzka, wieczór teatr, kolacya, no i spać! Nie ma on czasu na zajmowanie się sprawami publicznemi lub społecznemi, to zostawia tym „mniejszym“; nawet polityką się nie bawi. Raz coś kandydował na członka Rady miejskiej, lecz zrzekł się tego zaszczytu zaraz po wyborach, bo dostał pięć głosów.

Na ulicy go poznasz łatwo: zawsze czarno ubrany, w lśniącym cylindrze, z laską o srebrnej rączce, dobre ćmiąc cygaro, idzie wolnym krokiem pan na wysokiem stanowisku. Wielu ludzi nie poznaje, wiele ukłonów nie widzi, lecz za ładnym buziaczkiem przecież się obejrzy.

Jeszcze jedno go wyróżnia w tłumie ulicznym: oto każdy zna go woźny, z każdej instytucyi, i uniżenie go pozdrawia, bo to on, pan na wysokiem stanowisku!

Skończyłem; Tyś mi podziękował. Idziemy dalej. Wtem uderza Cię nowa postać, stojąca skromnie na uboczu przy drzwiach, do sali tanecznej prowadzących; pytasz o nią. A ja Ci znów odpowiem: „To pan na pośledniejszem stanowisku“.

## III.

## PAN NA POŚLEDNIEJSZEM STANOWISKU.

Małego wzrostu, trochę zatęgi, o poczciwych, jasnych oczach i bezpretensyonalnej fryzurze. Kołnierz u koszuli nieco zawielki, krawat gotowy lekko skrzywiony; frak, o! tenby już sam o sobie wiele powiedzieć potrafił! Służy mu jeszcze od ślubu i dobrze się trzyma, boć go przecież niedawno prawie zupełnie odnowiono: obszyto czarną tasiemką i odczyszczono benzyną. Że jest trochę zaobszerny i nieco na zagięciach odnóż wytarty, to nikogo dziwić nie powinno, bo „choć ubogo, lecz chędogo!“ Buciki ze zwykłej skórki, nielakierowane, ze względów oszczędnościowych. W ręku zawsze szapoklak, pamiątka tych dobrych młodych czasów!

Na bal przychodzi pan na pośledniejszem stanowisku jedynie na życzenie swej lepszej (niekoniecznie) połowy, towarzysząc swym córkom, które, dostąpiwszy już łaski sakramentu: chrztu, spowiedzi, komunii i bierzmowania, chciałyby jeszcze i małżeństwem być uświęcone.

Przyszedłszy na bal pieszo (w dorożce nie było dlań już miejsca), czeka pan na pośledniejszem stanowisku swej familii w garderobie; przybyłej żonie podaje ramię, a gdy córki pięknie ustawiły się parami

przed tymi, którzy im łaskawie życie dać raczyli, daje hasło do pochodu na salę, bacząc uważnie, by przypadkiem żonie na ogon sukni nie stanął! Boże! miałby się potem z pyszna!

Wyszukawszy rodzinie swej wygodne umieszczenie na sali balowej, albo siada przy żonie na rozkaz tejże, lub ukradkiem się do dalszych wymyka ubikacyi. Po drodze kłania się uniżenie swemu szefowi, który go nie widzi, potrąca jakiegoś pana, którego przeprasza, aż nastąpiwszy już tylko na suknię pani w różowym stroju i potknąwszy się o zawinięty dywan, staje w pokoju karcianym, gdzie koledzy z partyjką czekają.

I noc szybko upływa przy zielonym stoliku. Gdy szczęście nie dopisało, gniewa się pan na pośledniejszem stanowisku na tego, kto bale wymyślił! Szkoda nocy, pieniędzy, zdrowia i t. d.! Nie wraca już nawet do żony, ale po angielsku do domu się wymyka. Przeciwnie, gdy los łaskawym dlań się okazał, pan ten w dobry wpada humor. Gości partnerów w bufecie, do żony się nawet uśmiechnie, a podczas mazura, stojąc na uboczu, tupie od czasu do czasu nogą pokrzykując w takt hołubców: „hop, dziś, dziś, brawo młodzi!“

Po balu wraca znowu do swego szarego, jednostajnego trybu życia. W południe wraca z biura, zdejmuje krawat i twardy kołnierz, je obiad, słuchając gderań żony, słabej kobiety, upośledzonej przez mężczyzn pod względem praw życiowych, potem z nudów się przześpi. Wieczorem idzie na przechadzkę; codziennie go spotkasz na tej samej drodze, którą już od lat chodzi dzień w dzień o jednej godzinie, to sam, to z kolegą biurowym. Do teatru prawie nie chodzi, bo za drogo; raz był tylko na „Moralności pani Dulskiej“, ale wrócił zły do domu, bo miał tego rodzaju przedstawienia bezpłatnie u siebie w domu!

Za to co niedzielę prowadzi rodzinę do Kinematografu; to rozumiem! za tanie pieniądze masz dramat, operę, komedyę, balet, jedziesz koleją żelazną, automobilem, jesteś w Paryżu, Ameryce, na morzu, jednem słowem wszędzie! To się nazywa wynalazek!

W lecie pan na pośledniejszem stanowisku, nie mając za co wysłać rodziny na „świeże powietrze“ (należy to wyrażenie przynajmniej rozumieć dosłownie) — urządza każdej niedzieli wycieczkę za miasto. Wiktuały bierze się z domu, piwa wszędzie dostanie, a zabawa doskonała; cały sekret w tem, by koszyk z żywnością pokaźny miał wygląd, choćby wnętrze nierównie skromniejsze było w rzeczywistości, bo... to... młodzież przyciąga. A przecież i w lesie ludzie się oświadczają i towarzyszki dozgonne znajdują!

Ze śpiewką swojską na ustach wraca pan na pośledniejszem stanowisku do domu. Popatrzyłeś raz jeszcze, o Czytelniku, na skromną postać tego pana i chciałeś coś powiedzieć, gdy nagle ktoś nad uchem Ci wrzasnął, tak, żeś na bok uskoczył:

— Kadrrryl, panowie, prrroszę stawać!

Ochłonąwszy nieco, zapytałeś: „Kto to, ten o głosie Herkulesa?“ A ja na to:

„To wodzirej“.

## IV.

## »WODZIREJ«.

Tylko o jego osobie i zajęciach na sali balowej ja Ci tu opowiem; bliższe szczegóły z jego życia i działalności publiczno-towarzyskiej w powieści Gabryeli Zapolskiej p. t. „Wodzirej“ (strona 675), które jest, że się tak wyrażę, zdjęciem kinematograficznem danego osobnika.

Na balu to dowodzący generał. Ma swój sztab i adjutantów, ma armię wyćwiczoną, której przewodzi.

Charakteryzuje go stanowczość, powaga, ruchliwość i głos tubalny. Od reszty danserów nie odróżnia się ani krojem fraka, ani barwą kamizelki, lecz wspaniałą odznaką, przypiętą na klapie fraka, lub szarfą kolorową, przerzynającą na ukos lśniący gors koszuli; nadaje to wodzirejowi wygląd kawalera orderu królowej, lub członka Towarzystwa im. św. Zyty.

Wodzirej składa pary do poloneza, oprowadza je po sali, potem otwiera bal przy dźwiękach walca, przebijając się przemocą przez tłum gości balowych, zebrany jeszcze na sali.

Następnie kadryl, do którego, jego zdaniem, stanęło o 50 par więcej, niż w rzeczywistości było. Szósta figura! Nowość! Istne cudo w kronikach wodzirejów! Tak sądził wodzirej. Tak było na papierze, którego libr parę zarysował na posiedzeniach ze swym sztabem, tłumacząc im i kreśląc figury bajeczne. Na balu zaś teraz, czy par za wiele, czy nieuważają, dość, że z pomysłowych wężów lub filuternego zawijasa wyrabia się coś w rodzaju grochu z kapustą. Wodzirej zachrypł, gniewa się i sroży, wreszcie zrezygnowany ryczy: „Valse!“ no, i koniec kadryla.

Reszta tańców upływa mu na walkach z danserami, którzy zawsze chcą tańczyć wtedy, gdy nie na nich kolej przypada, na potęgowaniu nieodstępnej chrypki i na smutnem rozmyślaniu nad brakiem przytomności u tańczących (tak przynajmniej jemu się zdaje).

Wodzirej jest stanowczy; przynajmniej ten dawniejszy. Czas dla każdego tańca w domu już sobie wyznaczył i nie odstąpi od przyjętego raz planu pod żadnym warunkiem. Walca naprzykład nie przedłuży nawet o minutę, choćby nawet sam szef jego biurowy o to go poprosił; „nie mogę“ mówi z tajemniczą miną. Czasem tylko, ten filut, ale to bardzo rzadko, ustąpi prośbom uroczej danserki wyrzekłszy: „ale to tylko dla

Pani!“ wiedząc doskonale, że powłóczyste pięknych oczu spojrzenie nie minie go w nagrodę za to!

Wodzirej z „towarzystwa“ nie używa innego języka, jak tylko francuskiego. Wprawdzie ryczy czasem słowa, które raczej okrzyk wojenny Rough Riddersów na pamięć przywodzą; to jednak nic zabawie nie przeszkadza, bo flirtujące pary, zajęte rozmową, zadowoliłyby się też wodzirejem nawet z Mandżuryi!

Nie rzadko wodzirej używa też i siły fizycznej, jako środka pomocniczego, w prowadzeniu tańców. Czasem musi popchnąć spóźniającego się dansera, to znów szarpnąć za rączkę uroczą danserkę, co w następstwie jest powodem poważnych scen w garderobie, uroczystych rozmów wysurdutowanych panów w kawiarni i wielkiej biby w pierwszorzędnej restauracyi.

Wodzirej ma jednak i zmartwienia, z kosztem połączone! Tak przynajmniej opowiada! Oto od czasu do czasu każe zmieniać krawcowi klapy jedwabne u fraka, które nabierają cech sitka lub wogóle czegoś z dziurkami, dzięki niezliczonej ilości kokardek i ozdób kotylionowych, któremi piękne panie obsypują wprost skromnego wówczas męża. Miłe te pamiątki i oznaki wdzięczności kobiecej chowa skrzętnie wodzirej, opatruje w domu datą, numerem porządkowym i od czasu do czasu ogląda z lubością, niby stary wojownik swe trofea wojenne!

Zresztą jest każdy wodzirej wcale porządnym człowiekiem, swoje robi, z wyjątkiem tych kilku tygodni, w których mamy karnawał. Wtedy do biura się spóźnia, nic prawie nie pracuje, a nawet sam szef nic mu nie śmie powiedzieć, gdyż odparłby mu dumnie: „Prowadziłem wczoraj u księstwa Luciów“, albo: „Miałem wczoraj kolosalną robotę na balu Towarzystwa opieki nad przedwcześnie urodzonymi“! Ponieważ szef spodziewa się takiej odpowiedzi, a jest właśnie przyjacie-

lem księcia Lucia, a honorowym członkiem tego iście samarytańskiego Towarzystwa, więc milczy i zostawia naszego wodzireja w spokoju.

Takim jest wodzirej!

Bal w całej pełni. Skoczne dźwięki mazura idą raźnie w ucho, przywodząc na pamięć minione te chwile, gdy w taniec ten z innym szli ludzie ogniem, gdy młoda para, miast przy słodko-brzmiących, coś ze wschodniego haszyszu, którym sam nie wiesz, kiedy się odurzysz, tonach dzisiejszego walca, — przy zawrotnym i w żyły szturmem się wlewającym ogniu mazura lub oberka o całym świecie zapominała! Minęło, a szkoda!

Powiedzieć Ci coś o dzisiejszych danserach?

Posłuchaj!

## V.
## DANSER.

Dansera poznasz natychmiast, gdy wejdzie na salę. Pierwszym bowiem jego ruchem jest obciągnięcie w dół kamizelki, do czego używa zawsze obu rąk. Niektórzy poprawiają też pięknie związany krawat; ale tych mniej.

Danserów dzielimy na froterów i epuzerów. Froter, to danser młodszy, który tańczy jeszcze z ochotą. Na zabawy prywatne proszą go po to, by panny z kim tańczyć miały, na bal publiczny idzie z własnej woli, aby się wytańczyć. Froter przychodzi na bal wcześnie, aby jak najlepiej tańczące danserki do tańców zaprosić. Tak dalece spragniony jest zawsze tanów, że puszcza się czasami w zawrotny wir walca nawet już wtedy, gdy orkiestra dopiero poloneza zaczęła! Nic sobie jednak z tego nie robi, zmienia szybko pozycyę i staje z ognistą miną do poloneza ku przerażeniu swej

młodziutkiej danserki, która ze strachem spostrzega, że stali się czwartą zaraz parą uroczystego tego tańca, w którym udział biorą sami tylko dygnitarze balowi i komitetowi w liczbie ośmiu par. Budzi to naturalnie wesołość u złośliwych przyjaciół i nieprzyjaciół danego młodzieńca.

Froter nie bawi pań zupełnie; przejęty zupełnie kultem, nie profanuje tego szczytnego obrzędu banalną rozmową!

Punktem kulminacyjnym jest dla niego kotylion. Nadeszła pora, gdy urocze danserki spoconych swych rycerzy zdobią barwnemi kokardeczkami za trudy i wytrwałą pracę nożną. Wtedy froter staje na widocznem miejscu, naturalnie tylko po to, aby paniom zaoszczędzić trudu wyszukiwania go. Ma także froter w kieszeni zapas kokardeczek z ostatniego balu, które po pewnym czasie w jakimś zacisznym kąciku przypina też na piersi. Wróciwszy na salę, oddycha bardzo szybko, czuje się ogromnie zmęczony, „gdyż panie wprost mu wytchnąć nie dają“. Gdy bal się skończył, choćby to była godzina ósma rano, idzie nasz udekorowany froter do kawiarni (może tam już kto będzie), w otwartym szeroko paltocie, choćby nawet 20$^0$ mrozu było na dworze!

Innym zupełnie jest tak zwany epuzer. To człowiek dojrzały zupełnie, acz młody jeszcze, na jakiemś już stanowisku. Przychodzi na bal nieco później, gdyż na tańcach już mu nie zależy, chyba, że stara się o względy jakiej panny na wydaniu, a chce się jej przy kotylionie oświadczyć. Wtedy przychodzi wcześniej, wiodąc ze sobą dwóch expresów z kolosalnym bukietem dla danserki swego serca i wyczekuje jej w garderobie, by mu nikt tańca tego, a z nim razem i bogatej panny z przed nosa nie sprzątnął. Trzeba bowiem wiedzieć, że epuzer, to człowiek przeznaczony

na męża danserki. Ten nie należy już do armii froterów, to ich czasami niezapomniany weteran! Na bale prywatne proszą w pierwszym rzędzie jego i jemu podobnych, uzupełniając dopiero braki poczciwymi froterami.

I nierzadko epuzer wpadnie na całe życie, posyłając potem do wszystkich dyabłów kompozytorów upajającego walca, przy którego dźwiękach człowiek powie coś, czegoby na trzeźwo nigdy był nie powiedział!

Inny jednak epuzer panuje więcej nad sobą i jakoś ciągle sam przez życie się przebija. Ale temu biada! Jeszcze czas jakiś zapraszają go niektórzy, ale wkrótce z listy kandydatów go bez miłosierdzia wykreślają, i nasz biedny epuzer już na emeryturze!

Ważnym momentem dla epuzera jest balowa... kolacya. Dlatego na bale publiczne chadza tylko z musu, bo tam jeść nie dają, na prywatne zaś przyjęcia jedynie tam, gdzie kuchnia znaną jest z dobroci. Wtedy epuzer rezygnuje z podwieczorku i z całem nabożeństwem przystępuje do pięknie udekorowanego stołu, przy którym obiecuje sobie niebiańskich zażywać rozkoszy!

# O RYCERZACH,
# CO Z UPIORAMI WALCZYĆ CHCIELI

BALLADA

W oberży raz zasiadło trzech
Rycerzy wielkiej sławy,
(Historya ich toć nie jest grzech,
Niech słucha, kto ciekawy).
Przed każdym wina stoi dzban,
Co umysł ich rozbawia,
Bo im gospodarz, Zychem zwan,
Kredytu nie odmawia.
O duchach właśnie mowa jest,
O marach i upiorach,
(Nie jeden trwożny robi gest)
O strachach, dyabłach, zmorach!
W rycerzu każdym męstwo wre,
Dać dowód właśnie pora;
Więc podjąć chcą, ach, straszną grę:
Wyprawę na potwora!
Bo w zamku, wśród pobliskich skał,
(Wyjaśnić bowiem muszę),
Ktoś wieczór zawsze strasznie łkał,
Co dyabłu oddał duszę!
Upiorem tym był pewien gach,
Zabity raz przez pana,
Bo cichcem wlazł pod zamku dach
I z panią rżnął kankana!
Więc teraz w pustym zamku już
Co nocy on się błąka,
A że w ruinach wielki kurz,
Wciąż kicha lub też krząka.
Rycerze nasi w zamek ten
Dziś właśnie się wybiorą,
(Niech nikt nie sądzi, że to sen)
I zmierzyć chcą się z zmorą!
Ostatni jeszcze z dzbana łyk,
Rycerze z miejsc powstali!
Na chwałę męstwa zagrzmiał ryk!

Rycerze w dal pognali.
W oberży został ludzi tłum
I stary Zych ponury,
Wykrzyki, kłótnie, wielki szum,
Aż drżą oberży mury!
Bo jedni, wierząc w męstwa moc,
Rycerzy ostro bronią,
A drudzy kpią: „Z upiorem? W noc?
„Toć śmiałki w piętkę gonią!“
Wtem, gdy tak kłótni rósł wciąż gwar,
Że powstałby umarły,
(Zych winem zwiększał kłótni żar)
Drzwi nagle się otwarły:
Do izby wpadli, niby grom,
Trzej znani nam śmiałkowie!
Od trwożnych wrzasków wstrząsł się dom
Powstaje włos na głowie!
Bo strasznym jest rycerzy stan!
Zbyt wielkie to wrażenie!
(Toć omdlał rycerz, Majer zwan,
Gdy zwrócił w nich spojrzenie),
Bo wszyscy trzej wykrzykli wraz,
W śmiertelnej pędząc trwodze:
„By raz już w niego piorun trzasł!
„Spotkaliśmy go w drodze!“
A wtedy wszystkich porwał lęk
Rzucili się, jak dzicy,
Do drzwi, wydając trwożny jęk,
Co wiodą do piwnicy.
A w chwili, gdy ostatni już
W piwnicznej znikał toni,
Na drodze ciemny wzbił się kurz
I coś w oberżę goni!
To pewno upiór! Z zamku gach!
Co ściga śmiałków, mściwy,

Że naszli nocą stary gmach,
Gdzie jęczał, nieszczęśliwy!
I w rzeczy samej słychać krok,
Ktoś wszedł w oberży bramę,
Nie widać nic, bo w sieni mrok,
Lecz słychać westchnień gamę!
A wkrótce pod oberży dach,
(Niech nie drżą wasze serca!)
Ot, wszedł nie żaden zmarły gach,
Lecz Pinkus, krawiec z Szczerca!

* *
*

Więc Wam, Panowie radę dam,
Ją dobrze pamiętajcie:
Gdy coś przedsięwziąć przyjdzie Wam,
Wpierw długi wyrównajcie;
Bo częsta rzecz, to mówi pan,
Co w sprawach tych jest znawca,
Że zniszczyć może wielki plan
I z Szczerca postać krawca!

Że naszli nocą stary gmach,
Gdzie jęczał, nieszczęśliwy?
I w rzeczy samej słychać krok
Ktoś wszedł w którąś bramę.
Nie widać nic, bo w sieni mrok,
Lecz słychać westchnień gamę!
A wkrótce pod obszerny dach,
(Niech im drżą wasze serca!)
O, wszedł nie żaden zbójny gach,
Lecz Pinkus, Rabin z Szczerca!

Więc Wam, Panowie radę dam,
Ją dobrze pamiętajcie:
Gdy coś przedsięwziąć przyjdzie Wam,
Wpierw długi wyrównajcie.
Bo często rzecz, to inny tan,
Co w sprawach tych jest znawcą,
Że zniweczyć może wielki plan
I z Szewca posłać Kupca.

# SCHADZKA

Pani Ewa była dziś od samego rana bardzo zdenerwowana. Pierwsza zauważyła to już Julcia, panna służąca, która przyszła do leżącej jeszcze w łóżku pani Ewy po rozkazy, tyczące się toalety na dzień dzisiejszy. Ani jedna z proponowanych przez Julcię sukni nie została przez panią Ewę przyjęta, owszem, ku wielkiemu zdziwieniu swemu otrzymała Julcia polecenie przysposobienia skromnego, angielskiego kostyumu, którego pani Ewa od dłuższego czasu wcale nie używała. Z wprawą jednak dobrze wytresowanej służącej, nie dziwiącej się nigdy niczemu, przyniosła Julcia żądaną suknię, wyjęła z ogromnej szafy bajeczną bieliznę, a opuściwszy następnie na małą chwilkę sypialnię i przekonawszy się, że kąpiel jest już gotowa, zaprosiła swą panią do łazienki.

Nie chcę stopniować mej niedyskrecyi, której się dopuściłem, zaglądając bez pozwolenia właścicielki do jej sypialni, nie pójdę już za nią do łazienki, za co stokrotnie przepraszam tę część Szanownych Czytelników, któraby, nie podzielając mych skrupułów, i tam z wielką chęcią dotrzymywała towarzystwa pięknej pani.

Z panią Ewą spotkamy się więc dopiero, gdy po upływie godziny wychodzi ze swej garderoby, zupełnie już, niestety, ubrana! Wolnym krokiem mija kilka pokoi i wchodzi do jadalni, gdzie zasiada do śniadania. Pijąc kawę, patrzy kilka razy na stary zegar, jakby nie umiała odczytać godziny.

Z widocznem roztargnieniem wita swego pięcioletniego synka, Stasia, którego właśnie bona wprowadziła do jadalni, by „dzień dobry" powiedział mamusi.

— Stasio pójdzie dziś z Musią na przechadzkę? — pyta mały portrecik pani Ewy, tuląc do jej ramienia swe czarne kędziorki.

— Nie! — wyrzuciła z siebie pani Ewa. — Musia nie ma dziś czasu. Synuś pójdzie dziś z Michasią.

Uśmiechnięte pysio dziecka zmieniło się w mgnieniu oka nie do poznania. Malutkie usteczka wygięły się w t. zw. podkówkę, zwiastując bliski wybuch płaczu, a małe rączki Stasia objęły tak gwałtownie szyję pani Ewy, jakby się ich mały właściciel przemocą chciał przy swej Musi utrzymać.

— Musiu! Weź Stasia na przechadzkę — prosił przez łzy mały człowieczek. — Tak jus dawno nie byłem z Tobą na przechadzce! Pójdź, Musiu, z Siasiem!

Zniecierpliwiło to panią Ewę, która uwolniła się łatwo z jego uścisku.

— Niech Michasia wyprowadzi panicza, bo jest niegrzeczny. Za karę obiad zje w swoim pokoiku, a potem, jak powiedziałam, pójdzie z Michasią na przechadzkę.

Stasio, usłyszawszy ten straszny wyrok z ust rozgniewanej Musi, która nigdy jeszcze tak srogą dla niego nie była, zaniósł się serdecznym płaczem, lecz na krótko; płacz zginął gdzieś w malutkiej piersi Stasia. Być może, że wrodzony każdemu chłopcu instynkt podszepnął mu, że, jako przyszłemu mężczyźnie, nie wolno ni rozpaczy ni bolu płaczem okazywać.

— Niech Michasia wyprowadzi panicza, bo nie mam dziś wcale ochoty słuchać podobnych koncertów — usłyszał znowu Stasio.

Prowadzony przez Michasię, wychodził z pokoju, patrząc na swą Musię pełnym żalu wzrokiem, połykając łzy i już szepnął tylko dziecięcym głosikiem:

— Pocałuj choć Siasia! Pocałuj!

I była chwila, gdy pani Ewa już usta otwierała, by na Siasia, którego przecież ubóstwiała, zawołać i pocałunkami obsypać, lecz ukazanie się w jadalni nowej postaci zamiar ten udaremniło.

Do pani Ewy zbliżył się starszy pan, wyniosłej postaci, z siwiejącą brodą; z niedbałością, po której ła-

two poznać było można dobrze wychowanego, starzejącego się już męża młodej żony, ucałował jeden z jej loków, jaki przed godziną z ogromnym nakładem pracy wszechstronnie wykształcona Julcia przyozdobiła główkę swej pani, i rzekł:

— Dzień dobry, Ewo. Jak spałaś?

— Pocóż to pytanie? Wiesz dobrze, że od lat pięciu, t. j. od chwili, gdy mamy sypialnie zupełnie oddzielone, a ty w skutku tego nie budzisz mnie późnym swym powrotem z klubu, śpię dobrze i nie mogę się, niestety, uskarżać, by mi ktoś, lub coś przerywało mój smaczny sen — dokończyła z ironią pani Ewa.

— Och! — skrzywił się wyniosły mąż. — Pani dziś nie w humorze. Przepraszam więc najmocniej, że śmiałem naprzykrzać się i niepokoić ją mą osobą nie podług jej życzenia, bo w dzień — wymówił z przekąsem, — ale chciałem oznajmić, że dziś na obiedzie nie będę w domu. Wybacz!

Śmiesznie ceremonialny ukłon — mąż zniknął.

Pani Ewa zerwała się z krzesła ze zmarszczoną brwią i zaciśniętą piąstką.

— A! Podły! podły! — wyszeptała przez zaciśnięte zęby. — Czekaj! Będziesz więc miał! Wszelkie skrupuły, jakie dotychczas miałam, wszystko, wszystko już pierzchło! Nie będzie mi wcale ciebie teraz żal, ciebie, który na każdym kroku, kiedy tylko możesz, kłujesz mnie boleśnie złośliwemi słowy, choć powinieneś cicho siedzieć i wstydzić się przedemną! Ty, stary niedołęgo!

W oczach jej zapaliły się gorące, złe ognie. Szarpiąc nerwowo chusteczkę, biegała po pokoju.

— Głupia byłam, głupia! Czy nie szkoda tych lat straconych, zmarnowanych przy boku tego starego, zimnego zarozumialca, który mnie do ostatniej pasyi doprowadzał swą rybią krwią. Ty myślisz, że wygody

i zbytek, jakimi mnie otoczyłeś, potrafią we mnie zabić kobietę i to kobietę młodą, pełną życia i temperamentu? Czy myślisz, że to wszystko pozwoli mi zapomnieć, że ty masz lat przeszło pięćdziesiąt, a ja dwadzieścia ośm? O! nie, mój panie! Wszystko ma swoje granice! Przez pięć długich lat walczyłam ze sobą, mówiłam sobie: nie powinnaś go zdradzić, nie wolno ci! Lecz ty sam rozstrzygnąłeś! tak! ty sam! No! proszę! Z jaką on to wygłosił zarozumiałą pewnością przy jednej z dłuższych i przykrych sprzeczek: „Ja jestem spokojny i wiem, że jak jest, to jest, ale ty nigdybyś się nie odważyła mnie zdradzić!" Zobaczymy, czy możesz być tak pewnym siebie! Zobaczymy!

Snując gorączkowe te myśli, wpadła pani Ewa do swej sypialni, gdzie została aż do obiadu, który spożyła niecierpliwiąc się, sama jedna w ogromnej jadalni. Następnie, włożywszy na swe czarne loki skromny kapelusz i zakrywszy twarz gęstą woalką, wyszła z domu.

Stanisław z Grubna Grubiński wielce obiecującym był młodzieńcem. Jedyny syn bardzo bogatych rodziców, dziedzic dobrego nazwiska, właściciel jasnych, pięknie rozczesanych włosów i głębokich, niebieskich oczu, wcale nie głupi, miał drogę do szczęścia otwartą. Pieszczony przez rodziców, nie bardzo się imał książek naukowych, przenosząc zawsze nad Herodota Doyle'go, ale młodym był jeszcze i bogatym, więc, jak sądził, śpieszyć się zbytnio nie potrzebował.

W wolnych chwilach uczęszczał na uniwersytet, gdzie się zapisał jako słuchacz wydziału filozoficznego, uczynił to jednakowoż nie w celu słuchania wykładów, ale, by flirtować od czasu do czasu z uroczemi koleżankami, z któremi natychmiast zawarł był znajomość.

I choć miał dopiero lat dwadzieścia, to jednak w sprawach, dotyczących serca, kobiety i flirtu, miał już wprawę i doświadczenie mężczyzny co najmniej

lat trzydziestu. Nikt się dziwić jednak nie powinien, bo urodził się, o ile mi wiadomo, pan Stanisław w znaku „Panny“, co daje takiemu szczęśliwcowi wielkie powodzenie u kobiet już od lat najmłodszych.

I żył sobie pan Stanisław jak motylek jaki. Z lilijki na różyczkę, z różyczki na fiołek przelatywał lekko ten figlarz, aż wreszcie dnia jednego ujrzał na ulicy panią Ewę.

— Bycza niewiasta — pomyślał sobie. — Stasiu! Wal za tą damą! — i pogonił za panią Ewą. I zaczęły się dnie śledzeń, wystawania pod oknami, przesyłanie płomiennych spojrzeń na odległość, co wszystko zwróciło uwagę pani Ewy.

Jak każda zresztą uczciwa kobieta, żona mężowi a matka dzieciom, była pani Ewa zrazu bardzo oburzona! Święte to jednak uczucie nie mogło jej przeszkodzić w przyznaniu w duchu Stasiowi, że jest ładnym chłopcem i że wcale umiejętnie robi słodkie oczy. A kiedy się z każdym dniem potęgować w jej duszy zaczęło przekonanie, że jest „mężowi żoną“, a znowu „matką dzieciom“ właściwie wcale nazwać się nie może, mając tylko jedynego Stasia, — to już i czasem panu Stanisławowi rzuciła przy spotkaniu powłóczyste spojrzenie swych czarnych wielkich oczu.

I stało się, jak się zwykle stać musi. Gdzieś u znajomych „poznało się tych dwoje“. Zaczęło się od rozmowy nieśmiałej, która przeszła w coraz śmielsze wynurzenia, no, i zwykły epilog zbliżał się z szybkością, jakiej, zda się, żadna z kobiet, znajdujących się w tem położeniu, ocenić nie byłaby w stanie.

Kto był winien? Mąż! Naturalnie. Bo i jak można nigdy nie zbliżyć się do żony choć ze słówkiem cieplejszem, jeśli nie wspomnę już o jakimś geście podobnej temperatury. Jesteśmy przecież ludźmi! Stało się więc, a właściwie już niedługo stać się miało.

Przyjąwszy więc wszystko to, czegośmy się dotąd o pani Ewie i panu Stanisławie dowiedzieli, za wstęp, spójrzmy na miejsce zaciszne i spokojne, gdzie się właściwy dramat odgrywa.

*
* *

Wygodny, elegancki apartament kawalerski. Dwa piękne pokoje. Mebli niewiele, ale zato wygodne i dowodzące dobrego smaku właściciela. W oknach piękne firanki, na ścianach reprodukcye obrazów wielce mitologicznej treści, wśród nich nieśmiertelne „Vertige“.

Popołudniu dnia tego samego, w którym pani Ewa tak straszną walkę przebyła, siedział w tym ziemskim raju kawalerskim młody człowiek, lat dwudziestu kilku i z wielką uwagą dłubał jakimś metalowym przyrządem u swych paznogci. Rozumie się, że u rąk. Widać, że jakoś nie bardzo sprytnie czynność swą spełniał, gdyż, ujrzawszy nagle kroplę krwi przy nasadzie paznogcia, krzyknął: „Psia krew!“ — i włożył szybko trzeci palec lewej ręki do ust, kompromitując w ten sposób siebie i swoją krew wielce pańską.

Równocześnie z tym ulubionym przez niemowlęta ruchem, zadrgał dzwonek u drzwi wchodowych.

Gospodarz z palcem w buzi podążył do przedpokoju i wprowadził do gabinetu pana Stanisława z Grubna Grubińskiego, który, nie odkładając ni kapelusza ni okrycia, wykrzyknął:

— Jasiu, wyjm palec z ust i zabieraj się z domu!

— Co jest? — zaszeplenił Jaś, gospodarz, nie okazując wcale ochoty do spełnienia żadnego z dwóch usłyszanych właśnie poleceń.

— To jest, że za pół godziny będzie tu pewna dama z wyższego towarzystwa, z którą mam się właśnie naradzić... tego... omówić... Zresztą co jest, to

jest, zabieraj się i basta! — zakończył Staś ostro, jak zresztą na dobrze wychowanego gościa przystało.

— Naradzić, omówić, tego, co jest... Aleś, bracie, nagadał, nagadał! Powiedz po prostu: przyjdzie tu pewna dama zapomnieć o nudnym mężu, o nużącem gospodarstwie, o praniu bielizny...

— O! przepraszam! Dama, która tu dziś będzie, o praniu bielizny nawet nie śni! To jest...

— W takim razie przyjm życzenia odemnie. Nie wiedziałem, że znajdujesz obecnie upodobanie w aszantkach, noszących nieprane od miesiąca...

— Ani słowa więcej, Jasiu! — rzucił się Staś. — Bez głupich dowcipów! Chciałem powiedzieć, że dama, która tu przyjdzie, u siebie w domu ma takich, którzy za nią bieliznę...

— Zmieniają? — zapytał cicho filut-Jaś.

Znużony zupełnie Staś, teraz już nawet nie dokończył rozpoczętego zdania. W milczeniu wydobył z kieszeni paltota kilka paczek i małą flaszeczkę Cognacu.

Jaś patrzył z podełba na te manipulacye i, trzymając jeszcze wciąż palec w ustach, mruczał pod nosem:

— Stara recepta! Kucharski przepis z 365 podwieczorków kawalerskich: „Weź trochę Cognacu, kawioru i słodyczy, wepchaj wszystko razem w babę, a będziesz miał pasztet, bo cię mąż kijem zdzieli".

Staś przerwał swoje przygotowania, polegające na rozpakowywaniu trafnie wyliczonych przez Jasia specyałów, i spojrzał na domyślnego gospodarza takim wzrokiem, że ten rzeczywiście zaczął się powoli zabierać do wyjścia.

To uspokoiło Stasia.

— Dasz mi jeszcze, kochany Jasiu, twoje fioletowe pończochy, gdyż, jakby na złość, wziąłem przez po-

myłkę starą parę z dziurą na kolanie — prosił grzecznie.

Poczciwy Jaś, który z chęcią byłby despotycznego gościa wyrzucił na drzwi, gdyby nie to, że, będąc często w kłopotach finansowej natury, korzystał z przysług zamożnego młodzieńca, podszedł bez chwili namysłu do szafy. Wsadziwszy głowę między półki, szukał żądanego artykułu i mruczał coś pod nosem. Stasiowi zdawało się, że słyszał słowa: „wyższego towarzystwa; bez pończoch", ale nie mógł się zoryentować nad związkiem tych wyrazów. Jaś wcisnął mu żądane pończochy do ręki i zniknął w przedpokoju.

— A nie wracaj przed szóstą — krzyknął za nim Staś, na co usłyszał z przedpokoju nie zupełnie zrozumiałą odpowiedź Jasia, wspominającą coś o jakiemś wskoczeniu, i trzaśnięcie drzwiami.

Został sam...

Chwilę stał bez ruchu. Nagle, pochwyciwszy pożyczoną od Jasia część garderoby, ozdobił swe dolne kończyny fioletową barwą, a cisnąwszy swoje pończochy pod łóżko, powrócił do gabinetu i rzucił się na fotel.

Myślał. Jak „ją" przywitać? Toć przecie „porządna dama" z wyższego towarzystwa, a z taką Staś się jeszcze nigdy w kawalerskich mieszkaniach nie znajdował. Czy odrazu ją „tykać", czy przemówić z uszanowaniem jak w salonie?

Lecz ciężkie te namysły przerwał grom z jasnego nieba: dzwonek!

— Dziesięć minut przed umówioną godziną, a to się śpieszy! — szepnął z dumą Staś, gdy, goniąc do przedpokoju, spojrzał mimochodem na zegar.

Ciemny przedpokój.

Szybkie mignięcie drzwi. Ktoś wszedł.

— Witam cię hymnem rozkochanego... — zaczął Staś poetycznie.

— Proszę pana, ja nie mam czasu słuchać tu jakieś bajdy, tyle, że niech pan czynsz zapłaci, bo pan gospodarz już trzeci raz posyła — przerwał Stasiowi jakiś trochę nieprzyjemny głos.

— Co? Kto? Wynoś mi się, capie jeden! — krzyknął rozgniewany Staś, domyślając się w ciemności dozorcy domu.

— O! Kto cap? Widzisz go! Czynszu nie płaci, a na biednego człowieka to zaraz capuje! — zaczął podnosić głos rozgniewany referent od otwierania bramy, w przekonaniu, że ma przed sobą filuta-Jasia.

Staś ochłonął z gniewu i pymyślał sobie, że lepiej będzie w spokoju rozstać się z obrażonym obywatelem, więc odezwał się surowo:

— Dość! Pana Jana nie ma w domu. Wróci wieczorem, to czynsz zapłaci. Tu macie na piwo, żebyście darmo nie chodzili po piętrach. A teraz zabierzcie się co żywo!

To mówiąc, wypchnął za drzwi osłupiałego nagłym zwrotem sprawy dozorcę i wrócił do gabinetu.

— A to bestya ten Jaś! Wziął odemnie przed tygodniem pożyczkę na zapłacenie czynszu, a teraz ten mi tu włazi, jak Piłat. Jeszcze szczęście, że Ewy nie było. Ładneby miała wyobrażenie o mnie. A ten dozorca jakiś setny drab. Wrzeszczał bestya, jak w parlamencie. Dobrali się!

Nagle wybuchnął śmiechem, przypomniawszy sobie poetyczną oracyę, skierowaną do męża, którego po chwili nazwać capem czuł się zmuszony.

Nerwowo pociśnięty dzwonek przerwał mu te wspomnienia. Staś spoważniał w oka mgnieniu i pośpieszył do przedpokoju.

(Panny niżej lat dwudziestu i młodzież szkolna, powinni w tem miejscu przerwać lekturę tej romantycznej historyi).

Do gabinetu weszła pani Ewa, za nią niepewnie uśmiechnięty Staś.

Pani Ewa osunęła się na pierwszy z brzegu fotel, spojrzała na młodzieńca, stojącego przed nią w milczeniu, i wybuchnęła serdecznym śmiechem.

— Ha! ha! ha! No, nie róbże pan tak nieszczęśliwej miny! Jakże niepodobnym jesteś pan w tej chwili do tego pewnego siebie młodzieńca, który na ulicy z wprawą Don Juana zagląda kobietom w oczy! Chociaż i w tem panu do twarzy — mówiła dalej, odkładając woalkę i kapelusz na stolik i mierząc przychylnem spojrzeniem jego smukłą postać. — Rusz się już raz, dzieciaku, i pomóż zdjąć rękawiczki! — zniecierpliwiła się wreszcie pani Ewa i wyciągnęła swą rączkę, opiętą piękną rękawiczką, do Stasia.

Ten rzucił się gwałtownie do wypełnienia rozkazu i odzyskując już nieco zimną krew, przyległ ustami do rączki uwolnionej już z ciasnej rękawiczki, patrząc przytem rozmarzonemi oczami w twarz pani Ewy.

Lekki rumieniec ukazał się na bladych dotychczas policzkach pani Ewy, która, wchodząc po raz pierwszy do kawalerskiego apartamentu, humorem i sztuczną brawurą pokrywała dość znaczne wzruszenie.

Staś zbliżył się nagle, prawie, że aż nadto, jak na tak krótką znajomość, do pani Ewy i sam się sobie dziwiąc, zaczął mówić cichym głosem:

— Jak to dobrze, że pani przyszła do mnie (kłamał figlarz, bo za mieszkanie, nie on, ale Jaś nie płacił czynszu). — Czekałem tak niecierpliwie! Ale teraz już wiem, że mnie kochasz! Że twe serce dla mnie teraz bije,siłę mego dla ciebie uczucia odczuć potrafi! Nieprawdaż? Odpowiedz kochana! — improwizował młody człowiek, objąwszy panią Ewę i usiłując pocałować jej usta.

— Nie jeszcze!... Nie jeszcze!... — szeptała gorączkowo pani Ewa, czując, że ten pierwszy krok „na

lewo" przecież dość strasznym się wydaje dla nowicyuszki.

Lecz Staś, w którego żyłach płynęła nie napróżno krew bohaterskich przodków z pod Parkanów (mowa tu rozumie się o bitwie) stawał się pod wpływem oporu pięknej kobiety co raz bardziej natarczywym w czysto namiętnem znaczeniu tego słowa i powoli pociągnął panią Ewę ku drzwiom sypialni.

(Młode mężatki niżej lat trzydziestu zechcą w tem miejscu zamknąć oczy).

Pani Ewa, prowadzona przez Stasia, przestąpiła wreszcie fatalny próg!

(Proszę piękny ten zwrot rozumieć bez żadnej przenośni).

Z rumieńcem wstydu na swej pięknej twarzyczce, stanęła pani Ewa, po raz pierwszy, w kawalerskiej sypialni! Ach!

Chciała zakryć oczy rączkami; ale ponieważ z temi obchodził się właśnie namiętny Staś niby z serwetą, przeto przymknęła powieki.

Nie przeszkadzało jej to jednak wcale w obejrzeniu urządzenia sypialni, zauważeniu pary pończoch pod łóżkiem i znalezieniu, że młody pan Stanisław, jak na swój wiek, wcale umiejętnie urządził swe mieszkanie. (Biedny zapomniany Jasiu!)

Stasia niecierpliwić już zaczęła obojętność i spokój pani Ewy; nie zrozumiał, że czysty i niezepsuty dotąd umysł tej kobiety chłonął obecnie z dziecinną wprost ciekawością nieznane dotąd wrażenia, niepomny, że za chwilę może razem z swą piękną właścicielką runąć w przepaść moralną i zniszczyć swój pogodny spokój i nieskazitelną czystość na zawsze!

Nowa serya pocałunków, którymi Staś obsypał teraz twarzyczkę pani Ewy, przywróciła jej przytomność.

— Co? co pan robi? Nie! nie można! Poczekaj,

dzieciaku! — broniła się śmiejąc pani Ewa, czując jednak wyraźnie, że głodne jej zmysły nie na żarty zaczynają się dopominać o swoje prawa.

Chwilę jeszcze zmagały się sprzeczne uczucia w duszy pani Ewy.

Lecz jak na nieszczęście w wyobraźni jej ukazał się obraz męża i... walka się skończyła!

Zdecydowana już zupełnie pani Ewa zwróciła swe czarne oczy na pięknego Stasia, siedzącego obok niej na kanapce (w międzyczasie Staś wylądował na tym pożytecznym sprzęcie domowym) i figlarnym tonem spytała:

— No, więc powiedz, ty dzieciaku jeden, czego właściwie chcesz odemnie?

Na to Staś, któremu rola pieszczonego dziecka się w tych warunkach uśmiechała, wyszczebiotał, udając małego chłopczyka:

— Pociałuj Siasia! Pociałuj!

Efekt tych słów o ile był gwałtowny, o tyle niespodziewany.

(Panny, młode mężatki i młodzież szkolna mogą od tego miejsca czytać dalej).

Jak raniona lwica zerwała się pani Ewa z kanapki, odtrąciła Stasia i wybiegła do gabinetu, gdzie z niebywałą szybkością włożyła kapelusz, woalkę i okrycie. Następnie zwróciła się do osłupiałego zupełnie Stasia i wyszeptała doń urywanym głosem:

— Niech pan zapomni, że kiedykolwiek tu byłam. Swemi słowy przypomniał mi pan, że, choć będąc może wolną od pewnych obowiązków wobec męża, mam jednak obowiązki wobec mego syna, któremu winnam zostawić imię matki czyste i wolne od wszelkiego występku. Sądzę, że mówię do mężczyzny, do człowieka dojrzałego, który nie zapomni też o tem, co winien swemu honorowi. Czy tak?

— Tak, proszę pani! — wyjąkał Staś i ocknął się dopiero na łomot zatrzaśniętych drzwi. Chwilkę patrzył na przygotowane na stoliku kanapki z kawiorem i cukierki. Potem spojrzał na parę maleńkich rękawiczek, zapomnianych przez właścicielkę. Wreszcie usiadł ciężko na fotel i zaklął!

— A! Psia krew! Zwaryowała baba, czy co? Jakieś głupstwa o obowiązkach! Mąż mój, panie, to nie, ale syn mój, panie! tego! Czyste kpiny! To ona tu po to przychodziła, aby mi opowiadać bajki o obowiązkach dobrej matki i żony? Niech to dyabli porwą!

Po cóż ja, osioł, kupowałem w takim razie ten najdroższy kawior?

I wpadłszy w słuszny gniew oszczędnego młodzieńca, który dotąd jadał zawsze tańsze sorty tego przysmaku, zerwał się z fotelu i począł biegać po pokoju.

Słusznie jednak twierdzą niektórzy, że ruch fizyczny uspokaja wzburzony umysł. Młodzieniec nasz zwolna odzyskiwał spokój i co raz częściej spoglądał ku apetytnie przyrządzonym kanapkom. Wreszcie mruknął pod nosem: „Bierz ją dyabli!“ i zbliżył się do stolika. Nalał sobie kieliszek Cognacu, wypił, a następnie, z miną starego smakosza, począł sprzątać jedną kanapkę za drugą.

# O ZBYSZKU ZWYCIĘZCY

## BALLADA

Cóż to dzisiaj za święto
Na zamku księcia Omara,
Że sztandar na wieży zatknięto,
Rycerzy gromadzi się chmara?
O pierwszym słońca już brzasku
Lud tłumnie zalał podwórze,
Pełno hałasu i wrzasku,
Pełno ciekawych na murze.
O! Bo dzień dziś radosny,
Co raz do roku się zdarza,
Książę w pierwszym dniu wiosny
Rzadką sposobność nadarza:
Turniej u siebie ogłasza
Dla sławnych i możnych rycerzy,
Wszystkich gościnnie zaprasza.
(Wchód od zachodniej jest wieży).
I właśnie, gdy czeladź zamkowa
W krużganki ludzi wypiera,
Rycerska już dzwoni podkowa
I brama się z trzaskiem otwiera!
Heroldów trąby już grają
Na świata cztery strony,
Aż z dachów się zamku zrywają
Wróble, kawki i wrony!
Gdy zmilkły, sam książę powstaje,
(Wrażenie wielkie nie przeczę),
Ręką zebranym znak daje,
Z godnością te słowa wyrzecze:
„Rycerze! Hm! Tego... zebrani!
„Na walki i sławne... tee... tego!
„Zwycięzcy przeznaczam dziś w dani
„Coś bardzo, bardzo drogiego!“
Słuchali rycerze w skupieniu
Tej pięknej, kwiecistej oracyi,
I trwaliby byli w zdumieniu

Do samej, przypuszczam, kolacyi.
Lecz znowu trąby zagrały!
Nie czas dociekać przenośni!
Ogiery galopem wyrwały —
Rycerze zaś rykli radośnie!
I straszna walka zaczęta:
Jeździcy parami się zwarli,
Aż umkły z podwórca kaczęta,
W podziemiu się budzą umarli!
Bo takiej walki nie znano
Odkąd na zamku turnieje,
Oddech ogólnie wstrzymano,
Co rzadko tylko się dzieje!
Więc rycerz Jóżko z Brzuchowic
Już trzech powalił na ziemię,
Tam sławny Antek z Kurowic
Bije piątego już w ciemię!
A znany Maćko z Lubienia
Dźwiga na kopii dwa trupy.
Młody zaś Jaśko z Zniesienia
Zsuwa pobitych do kupy!
Krwią zalane kamienie
Trupów całe tysiące,
Walki ostatnie już tchnienie,
Osłabły ramiona już drżące!
I wreszcie z walczących gromady
Jeden tylko się ostał,
Co z każdym dał sobie rady,
I jeden nietknięty pozostał!
Przed królem stanął zmęczony
Bez hełmu jest jego głowa:
To on znany, ceniony
Zbyszko z Zamarstynowa!
A książę podniósł się z ławy
Ręce w kieszeni pochowa

I znowu uprzejmy, łaskawy
Wiekopomne rzecze te słowa:
„Nagroda, jak rzekłem, jest droga,
„Zwycięzcąś turnieju strasznego,
„Więc córka ma, piękna, nieboga,
„Żoną Twą będzie! Tee... tego!“
Ryk straszny się wzbił pod niebiosa,
Na chwałę księcia hojności,
Od wrzasku drży nawet fosa,
Zemdlało piętnastu coś gości!
Lecz cóż to ze Zbyszkiem się dzieje?
Cofa się nagle pobladły,
I w chwili, gdy wietrzyk zawieje,
Z ust jego słowa te padły:
„Dank przyjmij, panie, odemnie
„Za dar tak wielki, bezcenny,
„Walczyłem jednak daremnie
„I nadal zostanę bezżenny!
„Bo córka, co pysio swe chowa,
„Zaprawdę, prześliczna i miła,
„Lecz strach we mnie budzi teściowa,
„Piekielna jej wzroku jest siła!
„Bo ja, com potykał się z smokiem,
„Nie zadrżał przed żadnym potworem,
„Gdy ona mnie mierzy swym wzrokiem,
„Czuję się słabym i chorym!“
Tu Zbyszko pięknie się skłonił
Swym koniem wprawnie obrócił,
Przez bramę w galopie pogonił
I więcej już nigdy nie wrócił!
Naukę stąd, ojce, poznajcie,
Że córki za mąż wydając,
Żony w komórce chowajcie,
Bo wyrwie konkurent, jak zając!...

## SPIS RZECZY.